

Wiadomości Salezyańskie
Nr. 11 -- LISTOPAD -- 1905
Rocznik IX.
Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]
DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE



Związek

NAJŚW. MARYI PANNY, WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

DLA UŁATWIENIA DOSTĄPIENIA STANU DUCHOWNEGO

w dojrzalszym już wieku będącej młodzieży.

„Bracia, myślmy nad tem, jak długo chcemy, ostatecznie przekonamy się, że niepodobna dokazać dzieła większego, jak przyczyniając się ze swej strony do ukształcenia wzorowego kapłana."
(Św. Wincenty a Paulo).

Cel Związku. — Celem niniejszego **Związku** jest wspierać taką, w dojrzalszym już będącą wieku, młodzież, która posiadając skądinąd wszelkie potrzebne moralne przymioty i odpowiednie zdolności, pragnie za pomocą osobnego, do jej wieku i potrzeb zastosowanego kursu, oddać się naukom, by potem módz Panu Bogu poświęcić się na służbę w stanie duchownym.

Po ukończeniu studyów i należytem wypróbowaniu ich powołania, pozostawi się alumnom wolność, bądź powrócenia do swojej dyecezyi, bądź wstąpienia do zakonu, bądź też udania się na misye zagraniczne.

⁂

Środki. — Nie posiadamy żadnych stałych funduszów. Zadanie, jakieśmy sobie wyżej stawili, pragniemy osiągnąć za pomocą ofiar, składanych dobrowolnie przez członków Stowarzyszenia, czyli **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych,** w tym właśnie celu zawiązanego, a przez Ojca św., Piusa IX, pobłogosławionego, gorąco zaleconego i wyposażonego przezeń po wieczne czasy licznymi odpustami.

Członkami tegoż **Związku** mogą być wszyscy wierni płci obojga: tak mężczyzni, jak niewiasty i dzieci, Zgromadzenia zakonne, zakłady naukowe i wychowawcze, towarzystwa i t. d.

Członkowie **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych,** tworzą osobne, od wszystkich innych odrębne Stowarzyszenie; stanowią, że się tak wyrazimy, *święty hufiec* **Pomocników Bożych,** który stawił sobie za zadanie: rozszerzać kró estwo Chrystusa Pana tu na tej ziemi.

Członkami **Związku** mogą zostać także tacy, którzy nie są **Pomocnikami salezyańskimi.**

⁂

Warunki przyjęcia. — Pierwszym i nieodzownym warunkiem przyjęcia jest: żywe pragnienie przyczynienia się, odpowiednio do swoich zasobów, do przyprowadzenia do skutku *największego* i najlepszego *dzieła*, tj. dostarczenia Kościołowi św. dobrych i gorliwych kapłanów.

Ażeby jednakże wszyscy wierni mogli uczestniczyć w dziele tak wzniosłem, dzielą się członkowie **Związku** na trzy kategorye:

1. **Zwyczajni członkowie,** którzy się zobowiązują płacić *miesięcznie:* po 10 *fenygów* (10 *halerzy,* 5 *kopiejek*); lub *rocznie:* po 1 *marce* (1 *koronie,* 1/2 rubla).

   Kapłani mogą zostać *zwyczajnymi członkami,* odprawiając co rok *jedną* Mszę św. i odstępując stypendyum na rzecz **Związku.**

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

PRZEGLĄD DZIEŁ X. BOSKO.

Turyn. — Oratoryum św. Franciszka Salezego.

ROCZNIK IX. Nr. 11. Wychodzą co miesiąc. LISTOPAD 1905.

TREŚĆ: Str.

Godni wspomnienia.

Godni wspomnienia w czasie miesiąca dusz czyśćowych są bohaterowie z pod Portu Artura, Mukdenu i z nad brzegów Liaojanu! Na nic im się dziś nie zda pierś udekorowana, ani polityka Wittego, jeżeli ich dosięgło ramię sprawiedliwości Bożej za ludzkie przewinienia. Do nas jedynie wyciągają oni ręce z pieczary ognistej, wołając o ratunek. Nie zapominajmy, iż to nasi bracia!

Na drugiem miejscu godzi się okazać bodaj cichem westchnieniem nasze szczere współczucie tym rodzinom, żonom, sierotom, które zaszedłszy w dzień zaduszny na cmentarz ze świecą, łzą i tęsknem wspomnieniem, nie znalazły przy farnym kościółku, w rodzinnej mogile tego, kogo szukały. Jego wojna pożarła, a pożarłszy, rzuciła gdzieś na krańcach świata na pastwę wichrom i dzikim bestyom.

Rzewna modlitwa bratniego serca jednym i drugim więcej ulży, aniżeli smętne marzenia i szumne mowy pochwalne!

Święta jest myśl i zbawienna, modlić się za zmarłemi.

Świeżo opowiadano mi o człowieku, który jakkolwiek sam bogaty, mimo to pozwalał, by jego własna matka i matka jego żony cierpiały największą nędzę... „Przecież to nie po ludzku!" każdy zawoła. Lecz czemże jest ziemska potrzeba, co znaczą choćby największe cierpienia w porównaniu do potrzeb i mąk dusz czyścowych?! Czem jest niedostatek tego życia w porównaniu z cierpieniami dusz, pozbawionych widoku oblicza Boskiego, tego największego szczęścia, którego dusza ludzka dostąpić może?

Oburzamy się na niewdzięczność dzieci, które swych rodziców pozostawiają w najcięższej niedoli, a same korzystają z ich oszczędności, używają zbytków, wygód.

A jakże postępujemy wobec naszych zmarłych rodziców? Czy o nich pamiętamy? — Spieszymy z pomocą naszym przyjaciołom, gdy są w potrzebie, ratujemy ich; ale o naszych przyjaciołach, cierpiących nieopisane męki czyścowe, zapominamy nieraz zupełnie. Może im stawiamy pomniki, szumne mowy pochwalne łechcą przez chwilę nasze ucho, może nawet w szerokiem kole pozostałych zasiadamy do stołu i dajemy bankiety na ich cześć: lecz cóż im się z tego dostanie? — Może nam się zdaje, iż wszystko uczynione, gdyśmy w dzień zaduszny odwiedzili grób, porozmawiali o rzeczach obojętnych, złożyli wieniec. Lepiej było pieniądze na ten cel wyrzucone dać pierwszemu żebrakowi przydrożnemu, któryby choć jednem „Ojcze nasz" był wspomógł zmarłego.

Najwyższy to zaszczyt dla nieboszczyka, gdy go wiezie bogaty karawan, zaprzężony w ogniste rumaki, gdy stosy wieńców zakrywają całkowicie trumnę przed oczyma towarzyszących osób, gdy cały szereg lśniących karet, jakby na urągowisko smutku, ciągnie się długim wężem przez najludniejsze ulice miasta. Lecz zajrzyj w te karety: tam śmiechy, żarty, grzeszne czułostki, a może nieraz obmowy nieboszczyka, przed którym za życia trzeba się było płaszczyć. — A on? — Jeżeli nie przeklina dnia swego urodzenia gdzieś na dnie piekielnem, jęczy może i płacze i woła z płomieni czyścowych, aby choć połowę grosza, który idzie na te marne wystawności, obrócono na modlitwy. — „Czegóż ty chcesz" — odpowiadają krewni, — „oto tłum nieprzeliczony odprowadza cię do grobu, chorągwie nad tobą powiewają, muzyka ci przygrywa, koledzy jeden po drugim występują z mowami, nie dosyć ci tego?" — O ludzie bez serca, na nieszczęście tak często dzisiaj spotykać się dający!

Kościół katolicki wprawdzie nie sprzeciwia się temu, aby z jakąś okazałością wyprawiano pogrzeby jego zmarłym synom: owszem sam ma ceremonie i tekst rytuału ze wszech miar uroczyste i imponujące. Sam wśród bicia dzwonów, wśród dźwięków żałosnych pieśni, wysyła swego kapłana, odzianego kirem żałoby, na spotkanie syna, który po raz ostatni odwiedza przybytek Pański; ale chce, aby ta cześć zewnętrzna uchodziła zawsze za coś ubocznego, zbędnego, a nie była końcem wszelkich objawów miłości, która poza grób rozciągnąć się powinna. Biciem dzwonów, ponurością melodyi, kolorem szat wyraża i on swój żal, ale nie ten żal egoistyczny, który tylko swoją boleść widzi, lecz prawdziwy, który schodzi się z miłością czynną, a który prowadzi, po zerwaniu jednej, do nawiązania drugiej nici przyjaźni. Jednem słowem mówi on całem swojem postępowaniem, iż wobec otwartej mogiły nie pora dla kwiatów, wieńców, okazałości, pochwał i wesołych dźwięków. Należałoby raczej rozważyć wstrząsające słowa Apostoła: „*tak jest postanowione, że człowiek raz umrzeć musi;*" po śmierci atoli następuje sąd.

Chrześcijanin tedy, który wierzy, iż nieśmier-

telna cząstka człowieka, która się nad ciałem schodzącem do grobu unosi i w łonie wieczności dalej bytuje, może potrzebować jego pomocy i wzdychać do niej, powinien się szczerze zająć jej niepewnym losem. Jest to obowiązek ścisły, wynikający prostą drogą z religii jaką wyznaje; ten sam, który mu powiada: „*będziesz miłował bliźniego twego jako samego siebie:*" ten sam każe mu darzyć jałmużną głodnego żebraka. A jeżeli oprócz obowiązującego prawa przemówią za duszą związki krwi, przyjaźni, dobrodziejstw, wtedy zapomnienie przestaje być ludzką ułomnością, a zalicza się do zjawisk w życiu potwora.

Przyznać atoli należy, iż osoba zmarła, nawet najdroższa, ponieważ zeszła nam z oczu rozleje się z czasem w błękicie wspomnień, rozpłynie się niby mgła, a wtedy trzeba jakiego zewnętrznego czynnika, aby nam ją znów przysunąć pod widnokrąg naszych wrażeń. Takiej podniety dostarcza Kościół corocznie, święcąc dzień zaduszny, a potem cały miesiąc listopad przeznaczając takim smętnym odwiedzinom poza grób. Niech przynajmniej te okazye nie schodzą na czczych słowach, na bezowocnych gwałtach na piersi, aby płakały, i na oczy, aby łzy z nich wycisnąć; ale rzewna modlitwa niech z ust naszych uleci, a ręka niech się hojnie otworzy na dobre uczynki: „*jaką miarką mierzyć będziemy, taką nam kiedyś odmierzą.*"

Religia katolicka a postęp.

Dla wielu stało się pewnikiem, że nauka katolicka, potępiająca nadmierne przywiązanie się do znikomych rzeczy doczesnych, szkodzi normalnemu rozwojowi cywilizacyi, hamuje postęp wogóle, a materyalny w szczególności. Katolicyzm, według ich twierdzenia, przeklina świat, każe nim pogardzać, a przez to paraliżuje energię, nieodzowną zarówno w codziennej walce życia jak i w spełnianiu wyższych zadań kulturalnych: jednem słowem—ma błędne pojęcia o celu i zadaniach życia ludzkiego.

Zastanówmy się bliżej nad wartością tej argumentacyi. Czy prawdą jest, że religia katolicka wskazuje człowiekowi fałszywy cel życia, czy w rzeczy samej błędnie go informuje o zadaniach ziemskiej wędrówki?

Początkiem i celem dla człowieka jest Bóg, i Bóg jedynie. Ta jedność początku i celu określa zarazem obowiązki naszego bytowania doczesnego na świecie. Od Boga mamy życie, od Niego zależymy w każdym momencie i na każdym kroku, istniejemy przez Niego a zatem i dla Niego. Pamiętanie o Bogu, oddanie się Bogu, stanowi zasadnicze, centralne, wszystko ogarniające zadanie naszego życia. Zaś oddanie się nam Boga stanowić będzie kiedyś nagrodę naszą w wieczności.

Stosownie do tego katechizm katolicki rozróżnia bliższy i dalszy czyli ostateczny cel człowieka. Cel bliższy zawiera w sobie zadanie nasze i obowiązki na ziemskim padole. Wypełnienie tych zadań i obowiązków jest warunkiem nieodzownym dla osiągnienia celu ostatecznego za grobem. „Na co człowiek istnieje na ziemi?" pyta katechizm. „Na to, brzmi odpowiedź, aby poznał Boga, aby Go miłował, aby Mu służył i przez to wieczną szczęśliwość otrzymał." Czy atoli odpowiedź taka nie jest właśnie potwierdzeniem zarzutów

czynionych nauce kościelnej? Jeżeli według pojęć katolickich całe życie ma być jedynie „służbą Bożą," mającą na celu sprawy wieczności, to jakże można mówić o interesach doczesnych, materyalnych, o trudzie fizycznym, o zdobyczach postępu?

Gdyby katolickie pojęcie „służenia Bogu" ograniczało się jedynie do modlitwy, nabożeństwa, umartwień i ćwiczenia się w cnotach wewnętrznych, wówczas istotnie zarzut taki miałby znaczenie; lecz pojęcie to wedle nauki naszego Kościoła jest daleko szersze. Nie poprzestaje ono bynajmniej na cnotach religijnych w ściślejszem tego słowa znaczeniu, ale obejmuje całe życie ziemskie człowieka, zawiera wszystkie myśli i czyny. A ponieważ rozszerzanie i utrwalanie władzy nad przyrodą jest z rozkazu bożego prawem i obowiązkiem ludzkości a zarazem istotną częścią składową ustanowionego przez Opatrzność porządku świata, przeto wszelka praca nad ujarzmieniem sił i zjawisk natury należy również do liczby sposobów, zapomocą których człowiek może „służyć Bogu," t. j. spełniać wyroki Jego świętej woli.

Że człowiek i pod względem doczesnym, ziemskim, ma do spełnienia zadania rozliczne i wielkie; że winien rozwijać swe zdolności i siły tak wewnętrznie jak i na zewnątrz; że obowiązkiem jego jest przyczyniać się do postępu wiedzy, sztuki i wszelkiej kultury tak duchowej jak i materyalnej, to wszystko uważa katechizm katolicki za wnioski, wynikające oczywiście i naturalnie z głoszonych przezeń zasad. Rozprawiać o znaczeniu przyrodoznawstwa, ekonomii politycznej, przemysłu, rolnictwa itd. pod względem czysto ziemskim, nie może należeć do zadań katechizmu; uczy on jedynie, jak człowiek, będąc istotą duchową i moralną, winien postępować w swej pracy subjektywnej i działalności zewnętrznej, aby kroczył drogą zbawienia. Nie odmawiając przeto bynajmniej rzeczywistej wartości pracom i zabiegom około podniesienia kultury ziemskiej, wymaga Kościół katolicki, aby te prace i zabiegi nie zasłaniały człowiekowi nadprzyrodzonego celu jego egzystencyi doczesnej, aby go nie odrywały od służby bożej i nie zostawały w sprzeczności z kodeksem chrześcijańskich zasad moralności. Jest to punkt, na który etyka katolicka zawsze kładła nacisk szczególny, i który wobec panującego dzisiaj materyalizmu musi uwydatnić ze zdwojoną energią. Kościół na całym okręgu ziemi wołając codziennie: *sursum corda!* przychodzi z pomocą słabej naturze człowieka, który snadniej zapomina o niebie aniżeli o ziemi. I czyż praca na nizinach ziemskich nie zyskuje na tem olbrzymio, że pracownik wznosi od czasu do czasu wzrok swój ku niebu i strudzone swe dłonie składa do modlitwy? Ziemia byłaby straszliwą, wypaloną pustynią, a niebo wyglądałoby jak czarne wieko nad trumną, gdyby nie modlitwa, gdyby nie wiara, nadzieja i miłość chrześcijańska. Odebrać światu te zasadnicze czynniki życia duchowego, byłoby to pozbawić go wszelkiej wyższej wartości i poezyi. Człowiek skazany na pracę a nie znający modlitwy i aspiracyi religijnych, będzie tylko albo bydlęciem roboczem, w upojeniu zmysłów zapominającem o swem upodleniu, albo bestyą drapieżną i okrutną, gdy zerwie krępujące jego dzikość okowy i pęta.

Mogą tedy i powinny w życiu każdego chrześcijanina, bez różnicy powołania i stanu, łączyć się służba Boża z pracą i spełnianiem zadań doczesnych.

Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

Przedkładamy tutaj naszym Szan. Czytelnikom kilka kartek z dziejów misyi naszej w Quito, stolicy Ekwatoru. Skreślił je znany autor wielu dzieł, ks. Jan Francesia, mąż o gorącem uczuciu i bujnym polocie myśli. W rozczulających obrazkach rozwija nam owe smutne chwile, kiedyto bracia nasi Salezyanie, ofiary niecnych intryg i oszczerstw, zmuszeni byli opuszczać wśród przygód i niebezpieczeństw ten kraj, zroszony już obficie ich potem.

Oto, co między innemi mówi sam autor w dedykacyi swego dzieła:

Rok 1896. sprowadził burzę dziejową na rzeczp. ekwatorską. Dwa potężne stronnictwa polityczne ścierały się w krwawych potyczkach o panowanie nad ojczyzną. Nareszcie ślepa fortuna przechyliła szalę zwycięstwa jednemu z nich, które rozzuchwalone powodzeniem, potężnie dało się we znaki wszystkim podejrzanym o sympatye z przeciwnikami. Proskrypcya dotknęła i biednych synów ks. Bosko, których też zaraz pod zbrojną eskortą wyprowadzono z granic państwa. Lecz widocznie P. Bóg nie żądał od nich ofiary, chciał tylko wypróbować ich gotowość do niej. Na każdym prawie kroku śmierć zaglądała im w oczy, a zawsze jakaś cudowna ręka wyrywała ich z groźnej toni. I nasi ukochani misyonarze w pochodzie przez puszczę Paylonu, dokąd nie zapuści się lekkomyślnie nawet najśmielszy kanadyjski myśliwy, okazali, iż nie tylko zgadzali się z wolą bożą, ale że owszem bardzo pożądaną im była taka sposobność nakładania zdrowia za świętą sprawę swej wiary.

„Ks. Bosko jest z nami, mówili, on oręduje za nami u Boga, więc śmiało naprzód!“ — I szli: przebyli puszcze pełne okropności, zdradliwe moczary, groźne strumienie górskie, a jednak życie całe wynieśli.

Fakta przeze mnie przytoczone zebrane są z dokumentów urzędowych, ogłoszonych przez prasę, a dopełnione notatkami z dzienniczka misyonarzy, którzy dzięki szczęśliwemu pomysłowi spisywali pod świeżem wrażeniem wypadków swe codzienne przygody. Obecnie posłuszeństwo rozrzuciło ich po różnych państwach nowego świata. Lecz gdziekolwiek ich dojdą te stronice, będą mogli na nowo wysławiać ojcowską rękę Opatrzności, która przez tyle niebezpieczeństw wyprowadziła ich cało na miejsce bezpieczne, a wspomnienie przebytych walk nową energią owionie ich dusze i do tem gorliwszej pracy zagrzeje.

My zaś, ogarniając myślą wszystkich, ilu ich jest, synów ks. Bosko, zraszających swym potem winnicę Pańską w dalekiej Ameryce, nie możemy powstrzymać okrzyku: Dalej bracia naprzód! Bóg jest z Wami! Mężnie stawajcie, dotrzymajcie placu aż do końca! a wtedy będziemy mogli przy boku naszego Ojca nucić hymn dziękczynny tam w przybytkach niebieskich.

Rozdział I.

Pierwsi Salezyanie w Ekwatorze. — Śmierć ks. Bosko. — Świetny rozwój jego dzieła. — Nowe fundacye.

W jesieni roku 1887. żegnani przez swego Ojca ks. Bosko, opuszczali Genuę pierwsi misyonarze salezyańscy, przeznaczeni do rzeczp. ekwatorskiej. W samą uroczystość św. Franciszka Salezego, 29. stycznia 1888, pamiętam jak dziś, stoimy przy łożu gasnącego nam w oczach naszego założyciela, gdy wpada ktoś z telegramem zwiastującym, iż misyonarze przybili szczęśliwie do brzegów Ekwatoru, i że obecnie znajdowali się już w oddanym sobie zakładzie. Ks. Bosko słucha, poczem podnosi oczy ku niebu i woła z uniesieniem: Chwała Bogu! przybyli przecie szczęśliwie! Dwa dni później już nie żył, a odwrotny telegram zaniósł misyonarzom tę smutną nowinę. Łatwo pojąć, z jakiem usposobieniem ją przyjęli. Sami jedni, na obcej ziemi, nie znający nikogo, mieli właśnie zacząć nowe dzieło, gdy naraz zabrakło głowy i duszy wszystkiego! Znieśli

jednak cios ten po chrześcijańsku i zamiast poddawać się zwątpieniu, wzięli się tem gorliwiej do pracy. Rozwinęli cały zasób energii, fantazyi i odwagi, a ufni w możną z nieba przyczynę ks. Bosko, przyłożyli rękę do wszelkich najtrudniejszych przedsięwzięć. Wnet też stali się panami placu, trudności znikały z drogi, a dzieło weszło na tory jak najpomyślniejszego rozwoju.

Nasamprzód otwarli zakład sztuk i rzemiosł. Rząd darował lokal, wyznaczył roczną pensyę dla personału uczącego i dozorującego, a nadto obowiązał się pokrywać koszta utrzymania tych chłopców, którychby polecił. Miał to jednem słowem być zakład publiczny, oparty o rząd, a tylko bezpośredni zarząd i system pedagogiczny miał pozostawać w ręku Salezyanów.

Powodzenie było świetne, opinia publiczna stanęła przy nas. Nie dziw też, że w bardzo krótkim czasie fundacye się pomnożyły, dziatwa garnęła się do nich, a rodzice z pełnem zaufaniem oddawali nam swe dziatki. Zaczęto się potem domagać prywatnego gimnazyum, które też wnet zostało otwarte dla licznej młodzieży. Było to najdelikatniejsze pole pracy: i oto z jakich powodów. Inne zakony, jak Jezuici, Franciszkanie, Dominikanie, od lat już mieli wzorowo urządzone nowicyaty, z których rokrocznie wychodzili nowi szermierze, by zapełniać luki przez śmierć poczynione. I naszym trzeba było o tem pomyśleć, bo i im mogły wkrótce opaść ręce od nadmiaru pracy, lub śmierć mogła każdej chwili zażądać swej daniny, a cóż wtedy? Na nowe posiłki z domu macierzystego trudno się zawsze oglądać. Przypomnieli sobie tedy Salezyanie sen czy widzenie ks. Bosko, kiedyto Matka Boska ukazała mu się sprowadzająca do Jego zakładów chłopców — wybieranych z pomiędzy setek dziatwy miejskiej i wiejskiej — i polecająca ich jego szczególniejszej opiece, jako swoich przyszłych synów. Zapewniła wówczas Marya naszego fundatora, iż w każdym jego zakładzie, pośród tylu wychowanków, jest zawsze kilku wybrańców, których Bóg przeznaczył w szeregi salezyańskie. Cała trudność w tem, aby takowych poznać, a poznanych czułą otoczyć opieką i dzieło boże pielęgnować. A jest to kwestya nadzwyczaj drażliwa, gdzie jeden krok fałszywy wszystko może zepsuć. Nie wolno nalegać, namawiać, nie wolno jednem słowem gwałcić woli, a jednak ta wola nieraz jest za słaba, aby nie odczuć powabu tylu ponęt i pójść wiernie za głosem wewnętrznym, wzywającym do wyrzeczenia się świata, i potrzebuje, by coś neutralizowało prądy natury Adamowej. — Salezyanie kierują się w podobnych wypadkach radą swego zakonodawcy. Zwykł on był mawiać,



Widok na miasto Quito w Ekwatorze.

iż sam nasz system wychowawczy, należycie zastosowany, powinien nam zapełniać szeregi. I rzeczywiście serdeczne stosunki profesora z uczniami, do których ten system prowadzi, mają ten skutek, iż gdy po ukończeniu kursów zakładowych przyjdzie chłopcu rozłączyć się z tymi, do których się przywiązał, i puścić się na nieznane koleje, woli wybrać życie do którego nawykł, a w którem widzi szczęście i wesele.

Tak było i w Quito: bez żadnych nacisków ze strony przełożonych, oświadcza się najprzód dziesięciu, potem dwudziestu najzdolniejszych chłopców z zamiarem przywdziania sukienki zakonnej i zaciągnięcia się pod sztandar ks. Bosko. — Zarazem atoli powstaje nowa trudność o lokal, t. j. o odpowiednie dla nowicyackiego spokoju zacisze. Sam P. Bóg widocznym sposobem przychodzi wówczas w pomoc: nasyła dwóch wspaniałomyślnych dobrodziejów, którzy darowali obszerny plac w pysznem położeniu w Sangolqui, a nadto własnym kosztem wystawili potrzebny budynek. Tam tedy przeniesiono te delikatne drzewka, aby się z troskliwością i miłością zająć ich pielęgnowaniem.

Rozdział II.

Pierwszy kwiat.

Dzieło wprawdzie rozwijało się świetnie i zapowiadało jak najobfitsze owoce, ale zato brak personału stawał się z dniem każdym dokuczliwszy. Generalny inspektor misyi zasypywał listami błagalnymi następcę ks. Bosko, lecz zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź: „Nie możemy.“ Cóż tedy było począć? Opuścić rąk nie można, iść naprzód niepodobieństwo, a w razie zastoju to i ruina blizka. Na dobitkę rząd powierza nowe pole pracy. Dbały o to, aby cywilizacya chrześcijańska przedostała się przez odwieczne lasy aż do ostatnich kresów rzeczypospolitej, podzielił całą wschodnią jej część na trzy wikaryaty i oddał je zgromadzeniom zakonnym. Jeden wzięli OO. Dominikanie, drugi OO. Franciszkanie, a nam przypadł zamieszkały przez Jiwarosów wikaryat Mendez i Gualaquiza.

Konieczną była teraz jakaś pomoc. Widząc bezskuteczność swych listów, ks. Calcagno (czyt. Kalkanio) wybrał się w daleką podróż do Turynu, aby osobiście za własną sprawą przemówić. Istotnie tak jaskrawo potrafił przedstawić potrzeby misyi w Ekwatorze, iż ks. Rua, mimo wielkich zewsząd trudności, nie mógł mu niczego odmówić. Wracał tedy po kilku tygodniach na swoje stanowisko w towarzystwie sporego zastępu świeżych sił, gotowych na prace i poświęcenia swego zawodu. Nowa otucha wstąpiła w serca: obiecywano sobie teraz odnieść ostateczny tryumf nad szatanem i raz na zawsze położyć kres jego panowaniu w ziemiach naszej pieczy powierzonych. Mąci atoli te tak świetne horyzonty wypadek smutny i nieprzewidziany, a dla misyi wcale nieporządany: w drodze do Quito umiera najdzielniejszy i najdoświadczeńszy wojownik, ks. Anioł Savio.

Niezmordowany ten misyonarz spędził najpiękniejsze lata swego życia na równinach patagońskich jak niemniej w dziewiczych puszczach Paraguaju, i był niemal przez wszystkich tamtejszych Indyan znany i szanowany dla swej dobroci. Sława jego i poza Ameryką szeroko się rozeszła. Jedni chwalili w nim gorliwość św. Franciszka Ksawerego, inni odwagę Kolumba. Na niego też padły oczy Przełożonych, gdy mieli wybierać apostoła dla Jiwarosów wikaryatu Mendez i Gualaquiza.

Z przykładną uległością zakonnika porzuca pole, gdzie okrył się sławą, i z podwojonym zapałem puszcza się na nowe, nieznane mu dotąd. Żegna krewnych, przyjaciół, rozkoszne brzegi Włoch, i pragnie znaleźć się jak najprędzej pośród Indyan, których już ojcowską miłością był pokochał. Lecz przybył tylko do fatalnych Andów, skąd, jak drugi Mojżesz, miał oglądać ziemię obiecaną, choć wejście do niej było mu wzbronione. Tam u stóp góry Chimborazo, w lichej chatce pastuszej, skonał na twardej pościeli, opłakiwany rzewnie przez współbraci, podczas gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca cudnie łamały się o wieczyste śniegi i morzem blasków zalewały krajobraz.

Prosty krzyż żelazny wskazuje obecnie na cmentarzu w Guaranda miejsce, gdzie spoczywają śmiertelne szczątki tego bohatera wiary; lecz i z pod tej prostej mogiły jego ogniste serce przelewa po dziś dzień strumienie pociechy i zapału w serca młodych misyonarzy, pragnących pójść jego śladami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



KOLUMBIA

Przytulisko im. ks. Unia dla sierot po trędowatych. Obłóczyny pierwszych Córek Najsł. Serca.

List. ks. Ewazego Rabagliatiego.

Agua de Dios, 11. maja 1905.

Najprzew. Ks. Rua!

Wybierając się właśnie z powrotem do stolicy po całomiesięcznym pobycie w tym szpitalu, muszę, nim odjadę, zebrać wrażenia z całego tego czasu i niemi się z ukochanym Ojcem podzielić.

Nie będę tu wspominał o wielkotygodniowych obchodach, ani o rekolekcyach misyjnych, procesyach, licznych spowiedziach i komuniach św. Pomijam to wszystko milczeniem, jako rzeczy zwykłe przy podobnych okazyach, a jeden tylko fakt dokonany, owoc niezliczonych kłopotów i zabiegów, przedstawię drogiemu Ojcu: mianowicie zainaugurowanie schroniska dla sierot po trędowatych.

Od dawna już upominano się o tego rodzaju instytucyę, i słusznie. Jak bowiem wiadomo, taki ubogi trędowaty ojciec rodziny nie może się oglądać jak tylko na grosz z ofiarności publicznej. Ta wprawdzie, ogółem mówiąc, nie zawodzi go, gdyż Kolumbijczyk, choć sam biedny a ojczyznę swą nazywający „krainą boleści," nie poszczędzi sakiewki, gdy go zawezwiesz w imię humanitarności. Lecz i najhojniejsze ofiary nie starczą wobec przerażającej liczby tych nieszczęśliwych, czyto zebranych po lazaretach, czy wałęsających się po wsiach, dokąd nie sięga oko policyi. Wskutek tego choć miliony płyną corocznie na ukojenie ich bólów, mimo to jednostki nieraz mocno z głodu przymierają. Najgorzej zaś na tem wychodzą sieroty po trądem dotkniętych rodzicach. Niezdatność fizyczna do jakiegobądź zajęcia, bóle dokuczliwe, połączone z zupełnym brakiem wszystkiego, czynią ich położenie ze wszech miar godnem politowania, Aż dotąd utrzymywały się te biedactwa bądź przy krewnych, bądź o żebranym chlebie, dopóki ich nędza powoli nie dobijała. Dalej atoli tak iść nie mogło, tem bardziej że liczba ich i niedola wzrasta z dniem każdym. Wziąłem sobie tedy ich sprawę do serca, odwołałem się do szlachetnych uczuć Kolumbijczyków i takim sposobem stanęło to przytulisko. Jest to obecnie najokazalszy gmach w Agua de Dios. Imię otrzymało od pierwszego apostoła trędowatych, nieśmiertelnej tamże pamięci ks. Michała Unia Przemogły prośby i nalegania chorych, gdyż pierwszą moją myślą było nazwać je domem cudów, tak mi zaimponował fakt, iż w czasie kiedy wojna domowa od czterech lat jątrzyła

bratnie umysły i rujnowała kraj wcale nie słynący z bogactw, w stosunkowo bardzo krótkim czasie zebrałem pokaźną kwotę 400.000 pesos, złożoną, prócz kilku grubszych doraźnych ofiar, przeważnie drogą składek pomiędzy dziatwą szkolną.

Odbyła się tedy inauguracya; brakło jednak tych formalności i pompy, na jakie będzie sobie można pozwolić wówczas, gdy zakład dostatecznie zapełniony, wejdzie na właściwe tory regulaminowe. Dziś poprzestano na przyjęciu nieco ceremonialnem pierwszych chłopaków. Miało ich być dwunastu; w chwili przyjęcia atoli brakło jednego. Uganiają się za nim, przeszukują cały dom, ale napróżno; zachodzimy wszyscy w głowę, jaki powód mógł powstrzymać od przybycia najchętniejszego z dzieci. Po dobrej godzinie biegania i wołania odnajdują go przechadzającego się samotnie po przyległym gaiku. — Na wszelkie nalegania oświadcza stanowczo, że nie przyjdzie.

— A to czemu?

— Nie mogę!

— Jakto? a dlaczegóżto nie możesz?

— Nie mogę powiedzieć dlaczego, ale iść też nie mogę.

Dość komiczną była powaga, z jaką ten malec mówił, podparłszy się pod boki i przytakując płową główką. Długiej trzeba było pracy i wiele cierpliwości, nim się wygadał, iż powód, który go powstrzymywał, była obawa, by nie zakazić swoją chorobą tego z księży Salezyanów, który bezpośrednio miał się nim w zakładzie zajmować. Naturalnie żeśmy go w końcu przekonali, tak że się dał nakłonić i poszedł. — Takie były początki tego zakładu. Wkrótce przyjmie się więcej chłopców, a potem liczba ich będzie wzrastała w stosunku do środków, jakimi będziemy mogli rozporządzać.

Drugą wspaniałą stronicą w kronice misyi naszej wśród trędowatych jest zdarzenie zarówno dotąd niewidzianie jak ważne i doniosłe: sześć dziewic trędowatych poświęciło się obsłudze chorych, tworząc rodzaj zakonu pod wezwaniem Najsł. Serca P. Jezusa. Dziś właśnie przyjęły welony z rąk moich. Czyż to nie ponowny dowód bujnej żywotności naszej matki Kościoła św., tyle razy zakrzyczanego i ogłoszonego umarłym?! Oto tu białogłowy pokryte trądem, osłabione cierpieniami, zapominają o swych własnych bólach, aby je innym koić, aby innym nieść pomoc, której same potrzebują! Długo wprawdzie trzeba było grunt pod ten zasiew uprawiać, ale zeszedł nareszcie i ufam w Bogu, iż to ziarno gorczyczne rozrośnie się w drzewo potężne i owocodajne. I tak te biedne sieroty mają obecnie schronisko, mają zakonnice do obsługi, a my postaramy się zastąpić im ojców. Można tedy stąd wnosić, iż nie braknie im nic ani co do duszy, ani co do ciała. Chwała zato Ojcu niebieskiemu, który dowiódł ponownie, iż sieroty, to źrenica Jego oka.

Lecz dosyć na teraz, gdyż czas wyjazdu nadchodzi, a może wkrótce będę tu znów musiał przybyć, gdy nas odwiedzi Jego Eks. Ks. Arcybiskup Franciszek Ragonesi, delegat apostolski. Miał on wprawdzie być między nami podczas codopiero opisanych uroczystości, lecz w ostatniej chwili nadesłał telegram tłumaczący jego nieobecność nieprzewidzianemi przeszkodami, kończący się jednakże słowami: *quod differtur, non aufertur*, co się odwlecze, to nie uciecze.

Zostań z Bogiem, Ojcze kochany! Błogosław z Twego zacisza dalekim synom Twoim, znajdującym się na tej niebezpiecznej placówce, i nie omieszkaj od czasu do czasu zmówić jakiego *Zdrowaś* do Lekarki Niebieskiej

za Twego najprzywiązańszego

syna w Chrystusie

Ks. Ewazego Rabagliatti.

EKWATOR.

Nowa stacya misyjna w Pachicosa.

Chrzest misyonarski.

(Z listu do ks. Jenerała Rua.)

Korzystam z użyczonych mi kilku dni wytchnienia po trudnej wyprawie do Pachicosa, aby drogiemu Ojcu zdać sprawę z mojej pierwszej wycieczki misyjnej.

Posłano mię z trzema stolarzami i p. Ry-

*

szardem Muscoso do tej nowej stacyi misyjnej, abym tam upatrzył odpowiedni grunt pod kapliczkę i pokierował jej budową. Wszystko powiodło się jak najlepiej; gdy nasi współbracia tam przybędą, znajdą gotowy już kościółek i jaki taki dach nad głową. Dyabeł atoli nie zaspał placu i urządził nam sporo awantur. Są to może zwykłe przygody misyonarskie, dla mnie jednak mają one szczególniejszy urok, jako pierwociny mego zawodu....

Wskutek ulewnych deszczów, nie ustających ani na chwilę od paru tygodni, powzbierały rzeki, a niejedna szeroko rozlała. Każda, do wiosłom, pruła powoli ale zwycięsko rozbrykane fale. Lecz skoro dosięgliśmy środka, gdzie dwa olbrzymie prądy ścierały się z sobą, fala w jednej chwili zawróciła kanoą jakby zabawką dziecinną, porwała ją za sobą i w szalonym pędzie niosła wprost na brzeg przeciwległy. Jeszcze jedna chwila, a łódka wraz z nami rozbije się w drzazgi o srogo najeżone skały. Instynktowo zamknąłem oczy a zaparłszy oddech, czekam co się stanie. Naraz straszne wstrząśnienie rzuca mię wznak na dno kanoy, równocześnie atoli strumień zimnej wody bucha mi w twarz i przywołuje do przy-



Nizza Monferrato — Dom macierzysty i zakład wychowawczy Sióstr Maryi Wspomożycielki.

której przychodziliśmy, odstraszała nas złowrogim hukiem swych fal wzburzonych, przewalających się gwałtownie po urwiskach skalnych. Zwykle sporo czasu schodziło, nim znajdywaliśmy jakie miejsce mniej niedogodne do przeprawy, jeżeli wprost nie musieliśmy rzucać się w groźne nurty i brodząc wpław, przy ciągłem niebezpieczeństwie je przebywać. — Raz o włos przy takiej przeprawie życia nie postradałem.

Było to w powrocie. Przychodzimy do rzeki Chuchumblesa, wezbranej mocniej niż inne. Napróżno szukamy mielizny, ale natrafiamy zato na dość dużą kanoę (czółno). Ponieważ była w stanie nie najgorszym, pakujemy na nią bez namysłu nasze tłumoki i narzędzia rzemieślnicze, poczem wsiadam ja pierwszy a za mną dwaj stolarze i, przeżegnawszy się, odbijamy od brzegu. Z początku szło wyśmienicie: barka, posłuszna tomności: zrywam się i rozglądam w położeniu. Łódka wprawdzie była cała, ale przez silnie uszkodzony bok zaczęła ciurkiem napływać woda, wskutek czego najwyżej za parę minut byłaby poszła na dno; z drugiej zaś strony prąd zagrażał na nowo nią zapanować i zanieść na środek rzeki. Szczęściem czy cudem pchnął ją bokiem o brzeg, gdzie przypadkowo wyrastała jakaś krzewina.

Konwulsyjnie chwyciłem się jej obiema rękami: na to jednak musiałem się znów wychylić, co wyprowadziło z równowagi kanoę; napełniła się wodą i w jednej chwili poszła na dno. Wisiałem tedy na kilku wiotkich łodygach, do tego ciernistych, a silny prąd rwał mię za sobą. Kto wie, coby się jeszcze było stało, gdyby dwaj towarzysze nie byli mi przyszli z pomocą. Wyskoczyli oni, a raczej wypadli,

przy uderzeniu o brzeg, a ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, nadbiegli w najwyższy czas i jeden za ręce a drugi za nogi wywlekli mnie na brzeg zmoczonego, skrwawionego, zdenerwowanego. Z głębi serca podziękowaliśmy Bogu za to cudowne prawie ocalenie; lecz równocześnie myśl nasza pobiegła za pozostałymi na łódce sprzętami: było tego za jakie sto skudów.

Całą następną noc przesiedzieliśmy na brzegu bosi, głodni, zziębli, i dopiero nazajutrz, gdy dobrze rozedniało, ruszyliśmy dalej. Pocieszna to była karowana: żeby choć jeden był przy komplecie swego ubrania! ten tylko w gaciach, ów bez koszuli, ja boso i bez kapelusza. W takim stanie dotarliśmy do siedzib Jiwarosów, gdzie znów przypadło nam się zatrzymać, ażby rzeka Bomboisa nieco opadła, a potem bez dalszych awantur stanęliśmy po kilku dniach wśród swoich Wjazd odbyliśmy jak do Kanossy: boso, z odkrytą głową, z odzieżą w strzępach! Zato serdeczne przyjęcie ze strony współbraci i zadowolenie wewnętrzne nagrodziły hojnie wszelkie nasze trudy. Zadowolenie to racz Ty, drogi Ojcze, pomnożyć, zasyłając Twe błogosławieństwo misyi w Pachicosa, jak również temu, który chce zawsze pozostać

Twym oddanym w Chrystusie synem

Kl. Jan De-Maria.

MATTO GROSSO (Brazylia).

90 Indyan w kolonii Najsł. Serca P. Jezusa. — Zaraza. — Inne pocieszające wiadomości.

(Z listu ks. Jana Balzoli).

Barejro do Araguaja, 25 marca 1905.

Najdroższy Ojcze Jenerale!

W mojem zeszłomiesięcznem sprawozdaniu donosiłem drogiemu Ojcu, iż nowa gromadka dzikusów, złożona z 90ciu Indyan, przyszła powiększyć naszą osadę misyjną. Uciekli oni przed dżumą, jaka się była zakradła w ich siedziby, położone w kotlinie rzeki Rio das Mortes. Przyjąłem ich z otwartemi ramionami raz dla tego, iż serce moje uradowało się niezmiernie na ten nowy objaw zaufania do misyonarza, a po drugie wskutek ufności, że zmiana klimatu zdoła ich ocalić od zagłady. Niestety było na to nieco za późno: kilku już było zakażonych, gdy wyruszali, inni się od nich zarazili, tak iż w niespełna 16 dniach dwudziestu padło ofiarą straszliwej zarazy. Dzięki Bogu jednak woda chrztu św. otworzyła wszystkim bramy niebieskie.

Ciężkie to były dla nas chwile, drogi Ojcze! Cały jeden szczep tubylczy, nagi, głodny, z aniołem pomoru za plecami, zwala się niespodzianie w nasze objęcia, żądając pomocy, pożywienia, odzieży, przytułku. Rozlokowaliśmy zdrowych jak było można po improwizowanych szałasach, chorym zaś oddaliśmy nasze własne pomieszkania. Wnet cały dom zapełnił się jękami i nieludzkimi głosami! Com ja wtedy wycierpiał i jako kapłan i jako człowiek, Bogu jednemu to wiadomo. Gdym co rano odwiedzał chorych, a ci wijąc się z bólu, czepiali się nóg moich, błagając o litość, serce mi się krajało, a słowa pociechy zamierały na ustach. Zewsząd błagano, krzyczano o ratunek, konający wyciągali do nas swe drżące dłonie, a my musieliśmy patrzeć na ich katusze z rękami założonemi, gdyż najniezbędniejszych po temu środków znikąd dostać nie było można. W pierwszych dniach nie pożałowaliśmy naszej domowej apteczki; co tylko kto wiedział czy to z książek, czy z własnego doświadczenia, wydobywał, by służyć zakażonym. Wkrótce atoli szczupłe zapasy wyszły, a zostały tylko łzy współczucia i modlitwa. Chwyciliśmy się zatem tej ostatniej: wychowankowie nasi, prawie wszyscy ochrzczone co dopiero Indyaniątka, odmówili nowennę do Matki Boskiej: lecz widocznie chciała nas Ona wypróbować. Odmawiamy tedy drugą, potem trzecią, i dopiero za czwartą nastało widoczne przesilenie choroby. Śmiertelność ustąpiła całkowicie, a ci, którzy byli chorzy, wkrótce przyszli do zdrowia. Nie brakło przytem scen rozczulających. Wchodzę raz do jednej chaty, a tu cała rodzina, wielcy i mali, tarzają się z bólu po ziemi, krzycząc w niebogłosy. Gdzieindziej niemowlę przez cały dzień ssało lodowatą pierś zmarłej z rana matki. Niejaki *Kigaddo*, kapitan, przy-

był z dwoma żonami, z teściostwem i z ośmiu innymi członkami rodziny. W kilka dni umiera on, potem obie żony, następnie teściostwo, a inni pozostają tak osłabieni, że się ruszyć nie mogą. Obecnie burza przeszła, ale spuścizna po niej została: Indyanom przymnożyła tyle nędzy, że z głodu będą przymierać biedactwa, a nam pozostawiła setkę sierot bez ojca i matki.

Ciekawą jest szczególniejsza opieka Boska nad nami. Ze 140 Indyan, którzy pierwsi na stałe w misyi osiedli i odtąd wiernie się nas trzymali, ani jeden nie zachorował: inni znów przychodzili tylko czasami, jakby w odwiedziny, a potem na nowo znikali w gąszczach doliny *Rio das Mortes*, i tych jedynie choroba smagała, a zginęło ich 25 na 90, przyczem wszyscy trzej ich naczelnicy! Dałby Bóg, aby ten przykład wywarł na pozostałych zbawienny skutek!

Oszczędziła nam wprawdzie kolonistów, ale zato do nas przyszła po daninę straszna zaraza: dzisiaj w nocy o godz. 2 uległ jej nasz kochany współbrat Bertolino. Tak dzielnych rąk pozbawiona została nasza osada: ciężko nas Panie Boże doświadczasz, ale bądź wola Twoja! Niedługą była jego choroba, krótszem jeszcze było konanie. W uroczystość św. Józefa pod wieczór uczuł pierwsze zawroty głowy, potem ciągłe wymioty trapiły go przez cztery dni z rzędu, a wkońcu nastąpiła febra, która go dobiła, dając mu za ledwie na jedną chwilę przed śmiercią przyjść do siebie. Wczoraj wieczorem, wobec nagłego polepszenia, myśleliśmy, iż choroba zmożona i niebezpieczeństwo zażegnane, stąd z lepszą otuchą w sercu udałem się na spoczynek; lecz był to ostatni płomyk życia, po którym ono gaśnie na zawsze: nagle chory mdleje i zaraz zaczyna konać. Miałem zaledwie czas dać mu rozgrzeszenie in *articulo mortis*, namazać go olejem świętym i podszeptnąć mu najsłodsze imiona: Jezus, Marya, Józef, a już dusza jego uleciała do górnych przybytków.

Dziś rano odśpiewano żałobne nabożeństwo za spokój jego duszy, poczem zanieśliśmy go na wieczny spoczynek. Przy tym obrzędzie byli obecni także Indyanie. Ci poczciwi ludzie byli święcie przekonani, iż żadnego z misyonarzy śmierć się nie ima, a tu jeden leżał tam ot przed nimi zimny, sztywny, i jego jak innych zaniesiono na cmentarz i złożono w ziemi. Zaimponowało im to i napełniło ich obawą, tak iż przez cały czas zachowali się jak najpobożniej. Wrażenie było silne i skuteczne, skoro sami z własnego popędu przyszli mi potem oświadczyć, iż odtąd po naszemu będą grzebali swych zmarłych. Wszystkie moje namowy i perswazye w tym względzie dotąd wcale nie skutkowały: za nic w świecie nie chcieli się wyrzec swych ojczystych, ale kanibalskich zwyczajów; a teraz sami się poddawają. Nie jest to jeszcze kompletne zwycięstwo, ale przynajmniej znaczny krok naprzód. Zawarowali sobie na razie pochować jeszcze po staremu swych zmarłych kapitanów w środku aldei: odpowiedziałem im wymijająco, a może mi się uda ostatecznie i od tego ich odwieść.

Czart widocznie nie może zgryźć tego orzecha, iżby mu miano tyle dusz z jego pazurów wyrwać: jak wściekły rzuca się wpoprzek wszelkim naszym zamysłom. Służą mu w tem wybornie szalbierscy kapłani tego ludu, tak zwani *bari*: coś w rodzaju spirytystycznych medium. Jeden z nich, i to w mojej obecności, na jakie sześć miesięcy przedtem przepowiedział, iż po kilku księżycach wielu Indyan miało paść ofiarą śmierci. Zaś w czasie samej zarazy przechodzę sobie raz przez ich aldeę i widzę, iż ten sam bari siedzi otoczony garstką Indyan, skulonych koło dużego ogniska. Krzyczy, giestykuluje jak opętany, a Indyanie wlepiwszy weń swe zamglone trwogą oczy, słuchają w religijnem skupieniu, przytakując raz po raz głową. Zbliżywszy się, poznałem, iż pytał wywołanego ducha jakiegoś zmarłego o koniec śmiertelności. Niedługo trwała rozmowa: duch na zaklęcie przepadł, a *bari*, powróciwszy do normalnego stanu, obszedł jeszcze wszystkich po kolei, dmuchając każdemu silnie na głowę, aby zegnać zeń chorobę. Gdy skończył tę śmieszną operacyę, wysunąłem się na środek i pół żartobliwie a pół na seryo, rzekłem:

„Skoro *bari* pozdmuchiwał z was chorobę, nie potrzeba już, abym ja jeszcze modlił się za wami do *Papai Grande* lub nosił wam dryakwie.“ Wzięli moją groźbę na seryo, pozry-

wali się z miejsc i nuż krzyczeć, szlochać, całować mię po sutannie, błagając, abym u nich pozostał; a tyle było szczerości w tym nagłym wybuchu żalu, że ja sam nie mogłem się od łez powstrzymać. Czego to nie może na człowieku nieszczęście! Powiadał potem bari, iż upiór wywołany była to dusza zmarłego już od lat kilku Indyanina, który porwany przez Europejczyków, w Europie został wychowany, gdzie się również wyuczył wielu pożytecznych rzeczy.

Powróciwszy zaś wśród swoich, długo u nich żył, świadcząc im dobrodziejstwa, aż w końcu poszedł do nieba, gdzie on, bari, już go kilkakrotnie odwiedzał. Widocznie musiał mieć o nim jaki sen, a dla Indyanina marzenie senne, to więcej niż objawienie anielskie: w najdziwaczniejszy gotów święcie uwierzyć, szczególnie jeżeli go bari opowiada. Szkodliwy to zabobon, gdyż niejedna istota ludzka życiem go już przypłaciła. Ostatni tego rodzaju wypadek zdarzył się zaraz w pierwszych dniach po wybuchnięciu dżumy: doniesiono mi, iż pewna matka zadusiła swoje nowonarodzone dziecko. Śniło się nieszczęśliwej, iż to maleństwo miało przynieść na świat zarazę, i już na nie wyrok śmierci gotowy; skoro przyszło na świat, matka własnoręcznie je dusi przy pomocy kumoszek i znachorek. Złajałem mocno rzeczone baby, które też przyznały mi słuszność, ale jestem pewny, iż przy pierwszej okazyi zrobią to samo, gdyż taki jest zwyczaj: szkaradny, ale mający za sobą wiekowe tradycye, których bez wielkiej pracy nie wykorzenimy.

Wyznam to szczerze, iż nieraz znalazłem się w kłopotach wobec tego ludu. Gdym przechodził przez ich namioty, obsypywano mię tego rodzaju pytaniami: „Ilu zmarło? — Ilu ich umrze dzisiaj i kto? — Powaga moja i wpływ na nich musiały koniecznie ocaleć, ale cóż im odpowiedzieć? — Musiałem się uciec do wybiegów i dwuznacznych odpowiedzi na wzór ich bari. Powiadam tedy: zmarło ich tylu a tylu — wystarczyło bowiem policzyć. — Kto dzisiaj umrze? To jeden Pan Bóg może wiedzieć: zresztą ten już konający, ów wieczora nie dożyje, tamten się nie wyleczy itp. — a jakoś zawsze udawało mi się odgadnąć. — Swoją drogą codzień błagam Boga o przysłanie nam jakiego świętego, któryby cud jaki przed tym ludem mógł uczynić, bo wtedy dopiero ugruntowałby się we wierze a dzieło cywilizacyjne postępowałoby naprzód dziesięćkroć raźniej. I bez tego jednak jakiś skutek tylu zabiegów jest widoczny. Zeszłej niedzieli na przykład widząc ich wynędzniałych chorobą, bezsennością i trwogą, nie miałem odwagi ich wołać na nabożeństwo, bez czego inną razą mało ktoby był przyszedł. Skoro jednak ozwał się głos sygnaturki, co żyło poczęło się poruszać w kierunku kapliczki. Wychodzę na ich spotkanie: Panie łaskawy, co za widok! — jeden o kiju, drugi na czworakach, ten się tacza jak pijany, innego wprost niosą na rękach: myślałem, żem przy sadzawce w Siloe! Wtłoczyli się jak mogli do kościoła i wysłuchali Mszy św., poczem wzruszony do głębi powiedziałem im kilka słów serdecznych o ufności w Bogu, o miłości bliźniego, potrzebnej im szczególnie teraz wobec tylu opuszczonych dzieci, i zachęciłem ich przytem do cierpliwego znoszenia krzyża, jakim ich P. Bóg nawiedził. Słowa moje padły na rolę dobrze przygotowaną, gdyż po wyjściu widziałem wesołe twarze, słyszałem jak wśród żartobliwych gawęd ten i ów chwalił sobie pobyt w osadzie, gdzie przecież nikt nie zmarł prócz tych, którzy wśród lasów nabawili się byli choroby i przybyli już zakażeni.

Lecz jużem drogiego Ojca dosyć znudził; kończę przeto, ale błagam i zaklinam, aby kochany Ojciec raczył i sam się za nas modlić, i innym tożsamo polecił. O zapukaniu do serc naszych przezacnych Pomocników wcale nawet nie wspominam, bo mam tę niezbitą ufność, iż w swej szlachetności ulitują się nad tą osadą ze wszech miar godną politowania. Ty zaś, Ojcze, błogosław nam wszystkim, a szczególnie

Twemu synowi w Chrystusie

Ks. Janowi Balzola.

PS. — Może już Najdroższemu Ojcu doniesiono, iż na wystawie w Saint Louis kolonii naszej przyznano medale: *złoty* w oddziale rolniczym, a *bronzowy* za metodę szerzenia oświaty. Dzięki Bogu i zato!

**

Wiadomości potoczne.

EUROPA.

LWÓW (Spóźnione). — **Uroczystość Maryi Wspomożycielki wiernych a pracownicy salezyańscy we Lwowie.** — Zabłysnął maj z całym urokiem swej świeżości i zieleni, i zabrzmiały też uroczyściej dzwony stolicy naszej, zapowiadając dwie rzewne uroczystości Królowej niebios: Uroczystość koronacyi Jej cudownego Oblicza w kościele OO. Jezuitów lwowskich, gdzie Marya Pocieszycielka strapionych w umiłowanym przez siebie od wieków przybytku wyglądała od dawna przynależnego sobie hołdu, oraz święto Maryi Wspomożycielki wiernych, tak gorąco przez gorliwych pracowników salezyańskich oczekiwane.

W sam dzień uroczystości w cichej, odświętnie przystrojonej kaplicy WW. SS. Miłosierdzia św. Wincentego, odprawił Wny Ks. Dyrektor Stowarzyszenia Mszę św. w intencyi zgromadzonych członków, poczem w pełnych namaszczenia słowach wygłosił naukę o cudownem wstawiennictwie Najśw. Maryi Wspomożycielki, jako ,,Protektorki" Stowarzyszenia Salezyańskiego.

,,Gdy Stwórca stworzył świat jednem *fiat*, tak mówił czcigodny Ks. Dyrektor, stały się wszelkie rzeczy na niebie i ziemi. Maryi Wspomożycielce dozwolił wypowiedzieć to samo twórcze słowo w chwili Zwiastowania i wnet życie łaski według Boga zakrólowało w sercach ludzkich... Bóg Ojciec wlał w serce Swej wybranej Córy Swą twórczość, Bóg Syn swą miłość, Bóg Duch Św. swą mądrość. Potęga wstawiennictwa Maryi Wspomożycielki przewyższa prośby wszystkich świętych, ona bowiem raczej rozkazuje Swemu Synowi, aniżeli go prosi. Gdy Mądrość Przedwieczna nadała ludowi swemu dziesięcioro przykazań, przykazanie 4-te spełnił i dotąd spełnia Bóg-człowiek względem swej Najśw. Matki w całej rozciągłości, Syn bowiem boży takiej Matce niczego odmówić nie może.

Wiadomo nam z historyi, jak Pius VI szczególniejszą opieką Maryi wsparty, odnosi świetne zwycięstwo nad dumnym mocarzem Napoleonem I.

Dnia 24go maja powraca sędziwy Starzec do stolicy Piotrowej i na ten sam dzień przeznacza uroczystość ,,Maryi Wspomożycielki" po wieczne czasy, jako wotum za odniesione zwycięstwo nad nieprzyjacielem Kościoła św. Wytrwajmy przeto w służbie Maryi Wspomożycielki, wzywajmy często Jej możnej pomocy i pośrednictwa, a dobry Bóg pozwoli nam kiedyś wraz z Nią zażywać Swej wiecznej chwały w niebie."

Po nauce udało się Stowarzyszenie do sali klasztornej WW. SS. Miłosierdzia, gdzie zacna Przełożona i Jubilatka, Wielebna Siostra Paulina Kuleszanka, pozwoliła urządzić Stowarzyszeniu wystawę robót kościelnych, wykonanych lub też ofiarowanych przez Pomocnice salezyańskie, któremi w szczególności zajęła się W. Pani Radczyni Zawistowska. Roboty powyższe doręczył Wielebny ks. Dyrektor Stow. Sal. J. E. Najprzew. Ks. Arcypasterzowi Bilczewskiemu, jako wynagrodzenie za niedopełnienie 4go punktu regulaminu salezyańskiego, mianowicie obowiązku katechizowania ubogiej dziatwy opuszczonej, do spełnienia którego brak dotąd Stowarzyszeniu odpowiednich sił. Następnie zaszczycił wystawę swą obecnością Najprzew. Ks. Metropolita i zwróciwszy się do zebranych członków oraz ich dobrodziejów w gorących słowach, zachęcał do pracy w celu zaopatrzenia rokrocznie w bieliznę kościelną ubogich kaplic na kresach wschodniej Galicyi powstających, w których przemieszkuje nasz Pan i Zbawiciel, wyczekując od Swych czcicieli pomocy. Natchnione słowa najdostojniejszego Arcypasterza wywarły na słuchaczach podniosłe wrażenie a zapał ogarnął serca, zachęcając do dalszych w tym celu zbożnych usiłowań.

Miłem *intermezzo* wśród tej uroczystości był odczyt Wnego ks. Świerca, Salezyanina, kapelana Schroniska ks. Lubomirskiego z Krakowa, dla Stowarzyszenia naszego. Doborowa publiczność przysłuchiwała się z zajęciem słowom czcigodnego mowcy.

W pełnych barwy i życia obrazach przedstawił on jasno słuchaczom życiorys świątobliwego założyciela Zgromadzenia Salezyańskiego, ks. Jana Bosko, poczem dał wyraz wdzięczności dla Najprzew. naszego Arcypasterza ks. Metropolity lwowskiego, który najłaskawiej pozwolił Stowarzyszeniu naszemu rozwijać się we Lwowie; dla Przew. ks. Dyrektora Dra. Gaworzewskiego; dla W. P. Starościny Juliuszowej Bronarskiej, przełożonej Stowarzyszenia, oraz dla wszystkich obecnych, zachęcając ich do pracy dla dobra maluczkich.

*
* *

Równocześnie powiadamiamy szanownych czytelników naszego pisma, że w b. r. miała stanąć druga z rzędu świątynia Pańska pod zarządem XX. Salezyanów w Daszawie, lecz dla braku odpowiednich funduszów nie byli oni w możności rozpocząć budowy. Rozszerzyli więc tylko swą domową kaplicę dla dobra parafian. Wszelkie ofiary na ozdobę ołtarzy Pańskich oraz zaopatrzenie domu w odpowiednie szaty kościelne przyjmuje z wdzięcznością Wielebny Ks. Dyrektor Zakładu Salezyańskiego w Daszawie — p. Gelsendorf — Galicya.

TURYN. — **Dwustu pielgrzymów tyrolskich**, powracających z Lourdes, przybyło 14go września do naszego miasta dla zwiedzenia jego ważniejszych zabytków religijnych. Wstąpili także do Oratoryum św. Franciszka Salezego, gdzie modlili się długo przed ołtarzem Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Najprzew. X. Rua udzielił im błogosławieństwa tejże Panny Przenajświętszej, poczem zaprowadził ich do pokoików, zajmowanych swego czasu przez X. Bosko. Przejęci podziwem dla dzieła naszego czcigodnego Ojca, udali się następnie (w tych samych powozach, którymi przyjechali) zwiedzić jego grób w Seminaryum misyjnem w Valsalice, przez co złożyli ponowny dowód żywego zajęcia się dziełem salezyańskiem.

odbył się świetny popis z katechizmu. Prawdę powiedziawszy nie był to popis w ścisłem słowa tego znaczeniu, lecz coś więcej, gdyż wszystkie uczennice — a nie tylko niektóre — jak się to zazwyczaj dzieje, wzięły w nim udział i złożyły piękny dowód pilności i dobrej pamięci, począwszy od najmłodszej z pierwszej klasy elementarnej a skończywszy na najstarszej z trzeciego kursu normalnego. Odnośne pytania były losowane, jak losowane były również nazwiska mających dać odpowiedź. Nie obeszło się przytem bez deklamacyi, wypowiedzianych z wdziękiem i uczuciem przez starsze uczennice do swych młodszych koleżanek w celu zachęcenia ich do tem pilniejszego nabywania prawd naszej wiary św. W końcu rozdano nagrody i wysłano telegram do



Nizza Monferrato. — Wychowanice Sióstr Maryi Wspomożycielki.

NIZZA MONFERRATO (Prow. turyńska). — Jak Oratoryum św. Franciszka Salezego jest główną siedzibą Zgromadzenia Salezyańskiego, podobnie w Nizza Monferrato istnieje *Dom macierzysty Sióstr Maryi Wspomożycielki*, które na równi z Salezyanami uznają nieodżałowanej pamięci X. Jana Bosko za swego Założyciela. Do tego domu przyłączony jest żeński zakład wychowawczy, mieszczący w sobie przeszło dwieście wychowanic. Klasy tegoż zakładu mają prawo publiczności i obejmują kursa elementarne, uzupełniające i normalne. Uczęszcza do nich (razem z wychowankami) z górą pięćset uczennic. Nauki udzielają profesorowe i nauczycielki posiadające odpowiednie patenty, zgodnie z obowiązującymi przepisami rządowymi, i wszystkie egzamina mają znaczenie legalne.

Dnia 4. czerwca b. r., jako przy końcu roku szkolnego, między wychowanicami rzeczonego zakładu, zaszczyconego mianem *Matki Boskiej Łaskawej*, Ojca św. Na tej uroczystości byli również obecni nasi przełożeni X. Cerruti i X. Francesia, którzy wynieśli z niej nader miłe wrażenie.

MAROGGIA (Kanton Tessyński). — Maroggia jest to jedna z najpiękniejszych miejscowości położonych nad jeziorem Lugano, przy kolei idącej do Como-Lugano, dokąd zostanie przeniesione kollegium salezyańskie z Balerna.

Wspaniałe położenie, obszerne lokale, zachwycający widok jeziora i gór poblizkich, wszystko to zaprasza okolicznych mieszkańców do oddania swych synów do tego nowego kollegium. Rodzice atoli więcej niż na co innego, powinni raczej zważać na wychowanie i wykształcenie, jakie ich synom bywa udzielane. Otóż w kollegium w Maroggia młodzieńcy będą kształceni i wychowywani (jak we wszystkich innych zakładach salezyańskich) według systemu X. Bosko. Ich wychowanie zatem będzie gruntowne

i szczerze katolickie. Prócz klas elementarnych i pięciu gimnazyalnych, będą przy nowem kollegium istnieć także szkoły techniczna i handlowa, w których uczniowe — oprócz rodzimego języka włoskiego — będą się mogli wyuczyć również języka francuskiego i niemieckiego.

AMERYKA.

VILLA COLON (Uruguaj). — Dnia 18. grudnia z. r. odbyła się uroczysta koronacya statuy Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia wiernych, w świątyni Jej czci poświęconej w Villa Colon. Szanowni czytelnicy zapewne przypominają sobie jeszcze z poprzednich opisów, że kościół ten otrzymał nazwę *świątyni narodowej*. Obrzędu koronacyjnego dopełnił J. E. Mgr. Soler, arcybiskup z Montevideo. Była to uroczystość nader wspaniała; ludu zeszło się bardzo wiele. Żałujemy, że nie nadesłano nam w tym względzie bliższych szczegółów.

CORDOBA (Rzplita argentyńska). — **Powstanie nowego zakładu.** — Dyrektor Kollegium Piusa X, otworzonego w ostatnim czasie, pod datą 9. czerwca pisał do Przew. X. Rua:

« Po trzech miesiącach pobytu na tem nowem polu pracy, naznaczonem mi przez przełożonych, piszę drogiemu Ojcu po raz pierwszy w celu podania Mu niektórych szczegółów o tej nowej fundacyi. Przyczyną mej zwłoki było to, że z powodu opróżnienia stolicy biskupiej w Cordobie nie mieliśmy, ze strony Ordynaryusza, formalnego zezwolenia na otwarcie zakładu. Zaledwie atoli przybył nowy biskup, Mgr. Zenon Bustos, zakonu Braci Mniejszych, postaraliśmy się o rzeczone pozwolenie i otworzyliśmy zakład ze zwykłą w takich razach uroczystością. Nadaliśmy mu imię miłościwie nam panującego Papieża.

« W dzień naszego przyjazdu (6 maja) zostaliśmy przyjęci przez grono naszych pomocników i natychmiast zabraliśmy się do urządzenia sobie pomieszkania, składającego się z kilku stancyi, do wzniesienia szopy służącej za kaplicę i do wystawienia portyku, mającego chronić nas przed słotą. A ponieważ bezczynność kosztowała nas niemało poświęcenia, zaraz po otoczeniu dziedzińca murem daliśmy początek kaplicy świątecznej, którą urzędowo otworzyliśmy w Wielkanoc. Za pierwszą razą przyszło 50ciu chłopców; w niedzielę następną 88; potem 160; potem 280; potem 300; potem 358, a w ostatnią niedzielę (4. czerwca) około 400! Ten tak wielki napływ młodzieży zaczyna już nas wprawiać w kłopot, ponieważ jest nas tylko dwóch kapłanów i dwu kleryków z jednym młodzieńcem, który nam dopomaga. Dotychczas jednakże daliśmy sobie jako tako radę i co święto odbywa się katechizm, następnie kazanie a w końcu błogosławieństwo Przenajśw. Sakramentem, który w naszej kaplicy stale bywa przechowywany. Dnia 24go maja przew. X. kanonik Dr. Cabrera, prezes komitetu Pomocników, dokonał aktu poświęcenia kaplicy; odtąd jest ona otwartą dla młodzieży co święto rano i wieczorem.

Położenie zakładu jest bardzo korzystne. Jak Przew. Księdzu wiadomo, w Cordobie jest wiele kościołów i zgromadzeń (względnie rodzin) zakonnych, lecz my znajdujemy się w nowej części miasta, oddaleni od wszystkich. W sąsiedztwie niema kościoła, stąd w święta a także w dni powszednie wierni zaczynają przychodzić do naszej kapliczki, poświęconej Maryi Wspomożycielce. W święta jesteśmy zniewoleni wykładać dwa razy katechizm: o godz. 1 1/2 i o 5 po południu. Dla klas, które zostaną otworzone w pierwszych dniach lipca, są już przygotowane trzy pokoje, mogące pomieścić około stu chłopców.

Dotychczas Opatrzność Boska dopomaga nam w sposób nadzwyczajny. Nasi pomocnicy pracują niestrudzenie, szczególnie X. kanonik Dr. Cabrera, X. Wincenty Castro i X. Augustyn Garzon (czyt. Garcon), którzy okazują nam wszelkie możliwe względy i szukają środków potrzebnych do rozpoczęcia nowego budynku, w którym ma zostać urządzony zakład sztuk i rzemiosł... »

Cordoba dwadzieścia lat oczekiwała synów X. Bosko; oby się ziściły w zupełności jej żywe nadzieje!

PONTE NOWA (Stan Minas Geraes, Brazylia). — Przy innej sposobności wspomnieliśmy o świetnym postępie w naukach uczennic **Szkoły Normalnej Maryi Wspomożycielki** w Ponte Nowa. Otóż w związku z tem dostojny prezydent Stanu Minas Geraes, p. Franciszek Campos Sales, po zwiedzeniu w roku zeszłym rzeczonej szkoły, pozostawił na odjezdnem następujące piśmienne oświadczenie: ,,Z wizyty, jaką zrobiłem w Zakładzie i Szkole Normalnej Maryi Wspomożycielki, odniosłem jak najlepsze wrażenie tak co dotyczy doskonałego zarządu Zakładu, jak niemniej co do porządku, hygieny i postępu uczennic. Jest to naprawdę dobra szkoła normalna.''

Tego roku zaś p. inspektor szkolny tak napisał: ,,Muszę się szczerze przyznać: Moje przekonania osobiste czyniły mnie przeciwnikiem wszelkiej nauki udzielanej przez zakonników; dzisiaj natomiast mogę się nazwać co do tego nawróconym. Doświadczenie oraz pilne badanie zakładów tego rodzaju skłoniły mnie do wyrobienia sobie o nich mniemania wręcz odmiennego. Gdyby zależało ode mnie, starałbym się wszelkiemi siłami o otworzenie tych zakładów we wszystkich miastach rzeczypospolitej. Zakład mieszczący w sobie *Szkołę Normalną* w Ponte Nowa, jest jednym z tych domów, które wywarły na mnie jak najlepsze wrażenie, ponieważ widziałem w nim zastosowane w praktyce (i to ze świetnym wynikiem) racyonalne przepisy nowoczesnej pedagogii. Zdanie to mogę śmiało wypowiedzieć w mym charakterze nadzwyczajnego inspektora, którzy to urząd spełniam już od kilku lat.

26. maja 1905.

Stefan de Oliveira.''



ŁASKI
Najśw. Maryi Panny
Wsp. Wiernych.



Jesteśmyprzekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Marya Wspomożycielka sprawiła, że obeszło się bez operacyi, która wydawała się nieuniknioną.

W miesiącu marcu zachorowałam ciężko na krwotok i zniewolona byłam udać się do Krakowa do specyalistów. Ci po zbadaniu mnie wysłali mię natychmiast do kliniki, nie tając, że muszę się poddać ciężkiej wewnętrznej operacyi. W tem mojem nieszczęściu poleciłam się gorąco i oddałam w opiekę Matce Najświętszej, prosząc Ją o pomoc i ślubując, że w razie przyjścia do zdrowia ogłoszę ten cud w „Wiadomościach Salezyańskich." Także z kliniki trzy razy pisałam do WW. XX. Salezyanów, prosząc o Mszę św. i nowenny. Matka Najświętsza wysłuchała mnie niegodną: ośm tygodni przeleżałam w klinice, ale obeszło się bez operacyi, chociaż ta wydawała się nieuniknioną, i dziś od dwu tygodni jestem już w domu i mogę oddawać się swoim zwykłym zajęciom.

Za ten cud i łaskę składam Matce Najświętszej Wspomożeniu Wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu publiczne podziękowanie. Równocześnie przesyłam przekazem 4 korony, dwie na Mszę św. dziękczynną, a dwie na cele salezyańskie.

Grybów (Galicya), 8. 8. 1905.

HONORATA PERSA
Nauczycielka.

***

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w *Wiadomościach Salezyańskich* mego pokornego podziękowania Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za łaskawą i cudowną pomoc udzieloną mnie i mej siostrze przy zdawaniu egzaminu. Posyłam zarazem cztery korony z prośbą o odprawienie dziękczynnej Mszy św. przed obrazem tejże Matki najdobrotliwszej.

Jarosław (Galicya), 22. 8. 1905.

M. i A.

***

Troje dzieci urodziło mi się nieżywych; przy czwartem umarła mi żona. Za łaską Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki synek, który mi się obecnie urodził, chowa się dobrze. Za tę wielką łaskę składam tej litościwej Matce najszczersze podziękowanie.

Koszarawa (Galicya), 2. 8. 05.

JÓZEF ADAMEK.

***

Siostra moja będąc ciężko chorą w marcu tego roku, z wielką ufnością błagała Matkę Najświętszą Wspomożenie Wiernych, by ją ratowała i przyrzekła, że jeśli zostanie wysłuchaną, podziękuje Jej i ogłosi tę łaskę publicznie. I oto Panna Najświętsza wysłuchała mą

siostrę i zaraz ulżyła jej w cierpieniach. A ponieważ ona nie może tej najmilszej obietnicy wykonać, więc ja jej brat z największą radością i przyjemnością proszę o umieszczenie tej łaski w zeszytach salezyańskich.

Na podziękowanie Matce Boskiej Wspomożycielce za tę oraz inne łaski, przesyłam dziesięć koron na światło przed Jej cudownym obrazem, prosząc, by zawsze raczyła nam dopomagać.

Kraków, dnia 18go sierpnia 1905 r.

Stanisław Przybylski.

***

Spełniając ślub uczyniony, składam Matce Boskiej Wspomożycielce publiczne podziękowanie za doznaną łaskę.

Halicz (Galicya), dnia 12-go września 1905 r.

Hieronim Wierzchowski
Radca sądowy.

***

Przed kilku miesiącami prosiłem o odprawienie nowenny za moją chorą bratową. Dzięki Matce Przenajświętszej, odzyskała chora zwolna siły i dziś jest już zupełnie zdrowa. Niech będzie zato pochwalone i od wszystkich wysławione imię Dziewicy Niepokalanej, Maryi Wspomożycielki!

Steele (Westfalia).

Franciszek Sarbinowski.

***

Spełnienie przyrzeczenia.

Dziękuję Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za otrzymane łaski. Znajdując się w wielkim kłopocie z powodu brata mego, uczęszczającego do szkół, uciekłam się o pomoc do tejże Panny Przenajświętszej i zostałam wysłuchaną. Brat mój dostał dobre świadectwo. Z wdzięczności przesyłam skromną ofiarę na cele salezyańskie i polecam go nadal przemożnej opiece najmiłościwszej Wspomożycielki Wiernych, aby jego przyszłością raczyła według Swej woli pokierować i strzedz go od wszelkiego złego.

Kraków, dnia 4go sierpnia 1905 r.

S. E.

***

Będąc chorym ja i dziecina moja, ofiarowałem się Najświętszej Wspomożycielce, prosząc o uzdrowienie z tą obietnicą, że po wysłuchaniu ogłoszę to w miesięczniku salezyańskim. Ponieważ więc za przyczyną Matki Boskiej zdrowie odzyskaliśmy, serdecznie Jej dziękuję i podaję to do publicznej wiadomości.

Brzezie (Galicya).

Stanisław Zawiliński.

***

Czyniąc zadość danemu przyrzeczeniu, składamy Boskiemu Sercu Jezusowemu i Matce Najświętszej Wspomożycielce Wiernych publiczne podziękowanie za doznaną łaskę wyzdrowienia naszej córki z ciężkiej choroby szkarlatyny i dyfteryi.

Wanne (Westfalia), 2. 8. 1905.

Wincenty i Marya Cieślak

***

W maju b. r. poprosiłam XX. Salezyanów, by na moją intencyę zechcieli odprawić nowennę do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, gdyż już przeszło od roku niedomagałam ciężko a środki lecznicze, z wyjątkiem chwilowej ulgi, żadnej innej korzyści mi nie przynosiły. Sama się przytem gorliwie modliłam i przyrzekłam, że jeżeli zostanę wysłuchaną, złożę hojną ofiarę na kościół Matki Boskiej Wspomożycielki. Cudowna Lekarka chorych nie dała mi długo czekać na Swą pomoc, zaraz bowiem w pierwszym dniu nowenny uczułam się o wiele lepiej niż zwykle, a chociaż obecnie nie jestem jeszcze zupełnie zdrowa, mam jednak niezłomną nadzieję, iż stanie się to niebawem. — Również mojej chorej córeczce przywróciła Marya Wspomożycielka w tym czasie zdrowie.

Wyrażając Jej przeto niniejszem moją głęboką wdzięczność, zasyłam 20 marek na cel wyżej wspomniany.

Miechowice (Górny Śląsk), dnia 2. września 1905 r.

Gertruda Studlik.

***

Wyzdrowienie z paraliżu.

Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Boskiej Wspomożycielce składamy serdeczne

dzięki za nadzwyczajne przywrócenie zdrowia matce naszej.

Było to 12go sierpnia b. r., gdy chora została nagle ruszona paraliżem. W niespełna dwu godzinach wytrzymała pięć ataków i utraciła przytem mowę oraz czucie w prawej ręce i nodze. Przywołany lekarz stwierdził paraliż a przytem orzekł, iż jeżeli się nowy atak nie powtórzy, polepszenie w trzech dniach nastąpić może. Ofiarowaliśmy przeto chorą Boskiemu Sercu Jezusowemu i Maryi Wspomożycielce chrześcijan, prosząc, by nam raczyli zachować naszą drogą matkę. Od tej też chwili już żaden atak nie nastąpił, owszem — zmiana na lepsze uwidoczniła się tak dalece, że już po południu tegoż dnia matka nasza odzyskała przytomność i mowę, a także z ręki i nogi porażenie ustąpiło najzupełnej.

Dzięki więc powtórne Najsł. Sercu Jezusowemu i Maryi Wspomożycielce Wiernych, której orędownictwo nigdy nie zawodzi.

Zajączkowo (Prusy Zachodnie), 14. 8. 1905.

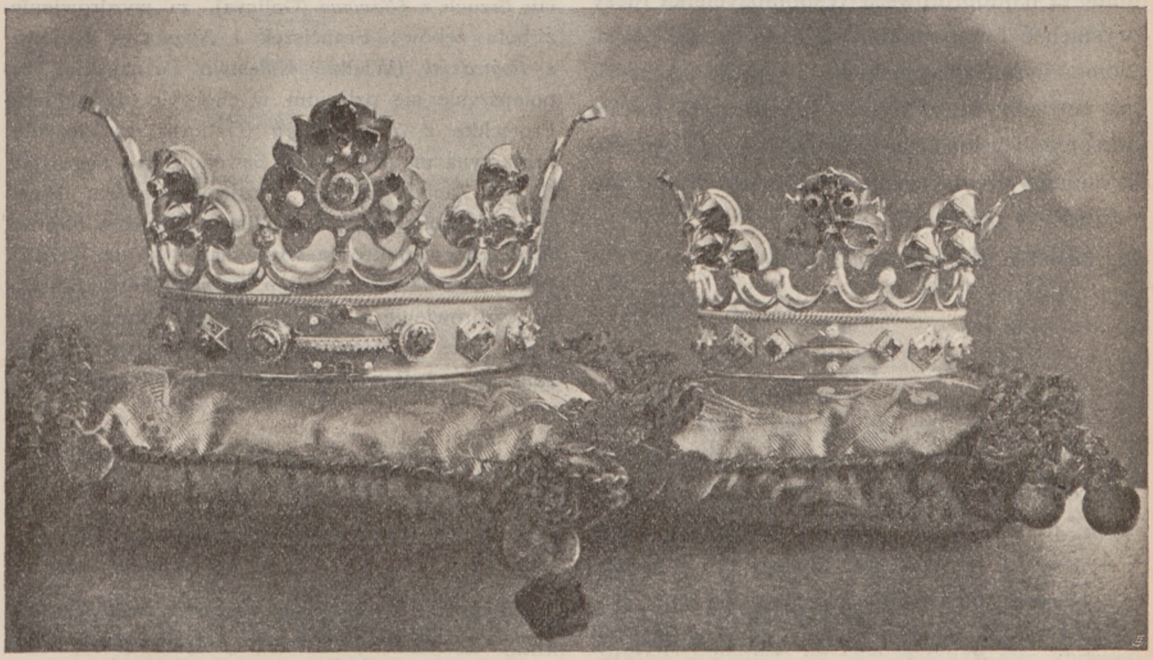
Familia Słancik.

***

Z głębi serca dziękuję Najświętszej Panience Wspomożeniu wiernych i Jej Boskiemu Synowi za ulgę w słabości. Łaski tej dostąpiłam, gdy tylko zrobiłam obietnicę umieszczenia podzięki w „Wiadomościach Salezyańskich.“ Błagam zarazem o łaskę zupełnego powrotu do zdrowia.

Krasnostawce (Galicya).

Leokadya Kühnerowa.



VILLA COLON — Korony, któremi ukoronowano statuę Maryi Wspomożycielki i Dzieciątka Jezus. *(Zob. str. 296).*

***

W roku 1903 zachorowałem na ciężkie zapalenie płuc. Gdy całe otoczenie mówiło, iż już niema dla mnie ratunku i że muszę umrzeć, rzekłem do żony i do płaczących dzieci: nie traćcie nadziei, lecz zwróćcie się z zaufaniem do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych. Do wspólnych modłów także ja się przyłączyłem i przyrzekłem, że jeżeli odzyskam zdrowie, złożę skromny datek na zakład salezyański w Oświęcimiu i ogłoszę tę łaskę w *Wiadomościach Salezyańskich*. Zostawszy wysłuchanym, uiszczam się (choć nieco późno) z danej

obietnicy i składam najgorętsze dzięki Najśw. Maryi Pannie Wsp. Wiernych.

Milno (Galicya), dnia 3. września 1905 r.

JÓZEF CZAPLA.

*
* *

Będąc w wielkiej potrzebie, udałem się z prośbą do Najśw. Panny Maryi, Wspomożycielki Wiernych, z tem postanowieniem, iż jeżeli mnie ta najdobrotliwsza Wspomożycielka raczy wysłuchać i wspomódz, ogłoszę to we „Wiadomościach Salezyańskich" i przyślę 10 marek na potrzeby salezyańskie. Prośba moja została wkrótce wysłuchana. Wywiązuję się przeto z mojego przyrzeczenia i nadsyłam drugą ratę w ilości 5 marek.

Zawadzki (Górny Śląsk), 4. 9. 1900.

JACEK WĄSIK.

*
* *

Za macierzyńską opiekę nade mną i moimi i za łaski otrzymane składam Najświętszej Mateczce Bożej, czczonej jako *Wspomożenie wiernych*, najkorniejsze dzięki i najgłębszą cześć i proszę Ją, tę najlepszę Matkę: O! Panienko Najświętsza, Orędowniczko nasza, nie opuszczaj mnie i moich nigdy, bądź z nami zawsze aż do ostatniego tchu!

Śniatyn (Galicya), 12. 8. 1905.

W. J. Pr.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

M. Klarowicz, *Morzew* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Helena Gorzkiewicz, *Przemyśl* (Galicya); Franciszek Krupok, *Nowawieś* (Górny Śląsk); Wojciech i Stanisława Śrama, *Utica* (Stany Zjednoczone); Jan i Amalia Święchowie, *Jadachy* (Galicya); Franciszek Plewniak, *Zawodzie* (Górny Śląsk); Franciszek Łukasik, *Pustków* (Galicya); Magdalena Pogodzińska, *Kobylin* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Janina Hryńkowa, *Sokal* (Galicya); St. Czarnecki, *Gdańsk* (Prusy Zachodnie); K. i Pelagia Filipowscy, *Buk* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Wincentyna Więckowska, *Dęba* (Galicya), Karol Drzyzga, *Miechowice* (Górny Śląsk); Ludwik Zator, *Draganówka* (Galicya); Agnieszka, Julianna i Maryanna Laskowskie, *Brodnica* (Prusy Zachodnie); Ksawery Szynalewski, *Jaroszewo* (Prusy Zachodnie); Albina Łaciakowa, *Trzciana* (Galicya); Antoni Naparty, *Mülheim* (Westfalia); Antoni Pawęcki, *Lwów*; Marcin Brzuch z *Ulanowa* (Galicya), za wyzdrowienie z bólu zębów; Franciszek i Anastazya Kujawa z *Pobiedzisk* (Wielkie Księstwo Poznańskie), za polepszenie się dzieciom w chorobie ócz; Marya Protschke z *Tarnobrzegu* (Galicya), za złożenie przez syna matury; Agata Szwedowska z *Pogutków* (Prusy Zachodnie), za wyzdrowienie dwu dzieci z ciężkiej choroby; A. Sulik z *Krasowa* (Górny Śląsk), za wielokrotne wysłuchanie swych próśb; Franciszek Nizioł z *Małego Bobrku* (Górny Śląsk), za wyzdrowienie z ciężkiej i długiej choroby; Konstancya Sz. z *Wilanowa* (Wielkie Księstwo Poznańskie), za wyzdrowienie córek z reumatyzmu.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

AVE MARIA

PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

ZAŁOŻONEGO PRZEZ

X. Jana Bosko.

NAPISAŁ X. JAN BONETTI.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XLVII.

Ciernie. — Protestacya. — Pierwsza inkwizycya — Dobroczynność i nienawiść. — Wzburzenie między chłopcami. — Słowa ks. Bosko. — Zmartwienie ks. Alasonatti. — Szarfa komisarza policyi i dekret inkwizycyi. — Naśmiewanie się i wynagrodzenie tego. — Rewizya osobista. — Koszyk i adwokat. — Rewizya w pokoju. — Przegląd listów. — Zdarzenia. — Rachunki długów. — Brewe. — Bollandyści. — Spowiedź. — Jak się zakończyła rewizya. — Dodanie odwagi. — Kondolencye. — Dziennik „Armonia".

Mówiliśmy w ostatnim rozdziale o różach, jakie nam przyniósł rok 1860; teraz z kolei wypada nam pomówić także o cierniach. Tak dla ks. Bosko jak i dla nas wszystkich były to ciernie ostre, a mianowicie owe podejrzenia ze strony rządu, jakoby w naszym domu istniało ognisko spisków przeciwko państwu. Skryci nieprzyjaciele i niecni oskarżyciele, aby uzyskać łaskę ministrów i tem otworzyć sobie drogę do zaszczytnych urzędów, fałszywie i potajemnie im podszeptywali, jakoby ks. Bosko utrzymywał tajne stosunki i wdawał się z Jezuitami, z arcybiskupem Turynu, Mons. Franzonim, z kardynałem Antonellim, a nawet z papieżem Piusem IX, i co gorsza — z Austryą, w celu rozsiewania niezadowolenia wśród ludności i przygotowania reakcyi przeciw obecnemu porządkowi rzeczy. Mówiono nawet, jakoby w Oratoryum istniała izba zapełniona bronią, którą w danym razie miano uzbroić wszystkich chłopców przeciwko rządowi; w rzeczywistości donosiciele wzięli magazyn, w którym przechowywano żywność, za skład broni. Były to ostre ciernie dla ks. Bosko te inkwizycye, rewizye osobiste i mieszkania, wizyty klas i zadawane tam zdradne pytania uczniom, moralne wprost tortury tych biedaków, od których usiłowano wyciągnąć zeznania i potwierdzenia tego, czego wcale w Oratoryum nie było; dodajmy do tego groźby uwięzienia tego, który nam dawał chleb niezbędny do życia i zapewniał naszą przyszłość; groźby zamknięcia naszego Instytutu i wyrzucenia nas wszystkich na ulicę, albo koniecznego powrotu do nanaszych ubogich rodzin. Odczuwaliśmy bardzo ostre kolce tych cierni, będąc przez długi czas w niebezpieczeństwie utracenia dzieła Oratoryów, które już od lat 19 ks. Bosko i jego współpracowników kosztowało tyle starań, znojów, potu i pracy nad młodzieżą opuszczoną. Wprawdzie już przedtem niejedną przykrość mieliśmy do zniesienia; opowiedzieliśmy to w pierwszej części tej historyi, ale wtedy te przykrości, te prześladowania pochodziły ze strony osób prywatnych, a władze rządowe przychodziły nam z pomocą; dowodem tego osobista interwencya samegoż króla Karola Alberta. Ale w r. 1860 rzeczy zmieniły się zupełnie; ci bowiem, co nas prześladowali, były to właśnie osobistości piastujące wysokie urzędy i mające na swe rozkazy siłę zbrojną.

Nasze obawy nie były zresztą bezpodstawne; pamiętaliśmy o tem dobrze, jak niedawno temu pozamykano kilka domów wychowawczych, jak wtrącono do więzienia kilka znacznych osobistości z duchowieństwa świeckiego i zakonnego, jak przymuszono w maju tegoż roku do zamieszkania w Turynie kardynała Corsi, Arcybiskupa Pizy. Pomówimy więc o tych cierniach, ale z góry zaznaczamy, że opowiedzeniem tych faktów nie mamy bynajmniej na celu wzbudzenia nieufności dla władzy publicznej.

Potrafimy odróżnić władzę od ludzi, którzy ją wykonują. Ludzie mogą nadużywać władzy im powierzonej, ale to nadużywanie nie dozwala gardzić samąż władzą i znosić nieposłuszeństwa i buntów pewnej części poddanych prze-

ciw władzy przez ogół uznanej. Św. Piotr, pierwszy papież, rozkazuje, dla utrzymania dobrego porządku, słuchać tych, którzy rządzą lub mają władzę nad nami, nawet gdyby ci przełożeni niegodni byli tej władzy: „*Servi, subditi estote in omni timore dominis, non tantum bonis et modestis, sed etiam discolis*“ (Petrus II., 18.). Wiemy również, iż bardzo często się zdarza, że właśnie nie przełożeni to okazują się okrutnymi względem podwładnych, jak raczej urzędnicy, którzy wykonują wolę przełożonych; i dzieje się tak bądźto wskutek niewiadomości lub niezrozumienia woli władzy, bądźto wskutek zbytniej, przesadnej lub udanej gorliwości. Zdarza się, że właśnie w czasach ogólnych zamieszek tacy urzędnicy, aby sobie wyrobić sławę nieustraszonych, aby uchodzić za ludzi bez przesądów religijnych i awansować w swych urzędach, pozwalają sobie na przekręcanie wypadków i nielegalne wypełnianie rozporządzeń władzy, któremi uciskają niewinnych i spokojnych obywateli, a niesprawiedliwa prasa i przewrotna opinia publiczna uważają te niewinne ofiary jako nieprzyjaciół państwa. Takie wypadki zdarzały się w każdym wieku i w każdem państwie. Już w Piśmie świętem czytamy, że wielki Aswerus, król perski, opłakiwał te smutne nadużycia władzy. Zwracając się do rządców 127^{miu} prowincyi swego państwa, pisał: „Wiele ludzi dobroci panów nadużyli i tak dalece w szaleństwi zaszli, że drogą kłamstwa usiłowali zgubić tych, którzy urzędów zwierzonych sobie pilnie przestrzegali i tak się w każdej rzeczy sprawowali, że godni byli pochwał wszystkich.“ (Ester XVI.). Możemy przypuścić, że coś podobnego zaszło i w tym wypadku, o którym mamy mówić. Prawda w każdym razie wyjdzie kiedyś na jaw. Powróćmy teraz do naszego opowiadania.

Było to 26. maja w wigilię uroczystości Zesłania Ducha świętego. Ks. Bosko po swym skromnym obiedzie i rekreacyi szedł właśnie po schodach, udając się do swego pokoju, gdy oto zbliżyła się do niego uboga niewiasta, przedstawiając mu jednego z swych synów i prosząc, aby go przyjął do Oratoryum. Na poparcie swej prośby wręczyła ks. Bosko list polecający od ministra spraw wewnętrznych. Gdy ks. Bosko myślał nad odpowiedzią, jaką miał dać biednej kobiecie, nadchodzi trzech panów i jeden z nich, przerywając ks. Bosko czytanie listu, mówi: „Musimy się widzieć z ks. Bosko.“

— Służę, rzekł ks. Bosko, proszę tylko chwilkę poczekać. Skoro tylko załatwię sprawę z tym chłopakiem, jestem na pańskie usługi.

— Nie możemy czekać, rzekł sucho nieznajomy.

— Więc czem mogę posłużyć, jeśli się panu tak spieszy?

— Musimy z księdzem pomówić poufnie.

— To dobrze, proszę tu w tę stronę do pokoju prefekta.

— Nie do pokoju prefekta, ale do własnego pokoju księdza.

— W tej chwili nie mogę tam iść.

— A jednak musi tam ksiądz iść: jest to konieczne.

— Aleć kto panowie jesteście i czego odemnie żądacie?

— Przyszliśmy zrobić rewizyę w domu księdza.

Ks. Bosko spostrzegł zaraz, że musiano go podejrzywać, dlatego rzekł:

— Czy panowie mają jaki rozkaz na piśmie?

— Nie, ale ja jestem adwokat Grasso, delegat policyi, a ci dwaj panowie są to: adwokat Tua i adwokat Grasselli; reprezentujemy władzę policyjną.

— A któż panów upoważnił do zrobienia u mnie rewizyi?

— Władze nie potrzebują upoważnienia.

— Proszę mi wybaczyć, moi panowie! Sądzę, że jesteście ludźmi szlachetnymi, mógłbym się jednak pomylić. Dopóki mi, panowie, nie pokażecie dokładnego rozkazu, którego się trzymać macie w działaniu, dopóty nie jestem obowiązany was wpuścić do mego pokoju ani do jakiejbądź części mego domu, który do mnie należy.

— Czy chcesz więc ksiądz zmusić nas do użycia siły zbrojnej?

— Panowie powstrzymają się od użycia siły zbrojnej w moim domu. Konstytucya gwarantuje spokojnym obywatelom nietykalność ich mieszkania a wszelki gwałt, jakiego się panowie dopuszczą, będzie uważany jako pogwałcenie tej ustawy i ja wniosę skargę do sądu.

Podczas tej rozprawy 18 policyantów rozproszyło się po dziedzińcu i schodach Oratoryum, a inni trzymali straż przy bramie, broniąc wejścia obcym i przeszukując kieszenie każdego, kto chciał wyjść z Oratoryum. Zdawałoby się, że zaszła pomyłka i że ubogi dom sierot wzięto za fortecę austryacką, do której zamierzano przypuścić szturm. Delegat, chcąc widocznie przestraszyć ks. Bosko, kazał kilku ludziom z swej straży wejść do domu i tonem podniesionym i surowym rzekł:

— Ksiądz zaprowadzi nas do swego pokoju, nieprawdaż?

— Nie mogę tam panów prowadzić i nie zaprowadzę, dopóki się nie dowiem, kto panów tu przysłał, z jaką władzą i z jakiej przyczyny. I proszę się strzedz wejść do mego pokoju gwałtem, bo w takim razie dam znak do alarmu, przywołam na pomoc sąsiadów i moich dzielnych chłopaków, którzy uważając was jako niesprawiedliwych napastników i gwałcicieli spokoju mieszkańców, zmuszą was oddalić się ztąd ze wstydem.

Na te słowa ks. Bosko jeden z policyantów chciał go już aresztować, ale delegat, trochę rozsądniejszy, wstrzymał go, mówiąc: „O ile możności spełnimy wszystko bez uszczerbku honoru." Następnie zwracając się do jednego ze swych kolegów, rzekł: „Bądź pan łaskaw pójść do urzędu i przynieść dekret, który zapomnieliśmy wziąć ze sobą!" — W czasie tej przerwy ks. Bosko załatwił sprawę z biedną kobietą i jej synem, którzy podczas jego rozmowy z delegatem stali jakoby oszołomieni i przerażeni, nie wiedząc powodu tego zajścia. Ks. Bosko z swej strony nie mógł wyjść z podziwu nad tem, jak tu pogodzić te dwie rzeczy: tu pisemna rekomendacya ministra względem ubogiego chłopca, a tu znowu rewizya w domu także z polecenia ministra. Czy to jakiś fałsz, obłuda? czy jakaś zasadzka? albo może dekret wydały władze niższe bez wiedzy ministra spraw wewnętrznych? Bądź co bądź ks. Bosko nie zawahał się ostatecznie przyjąć biednego chłopczyny; co więcej czuł się szczęśliwym, że mu Opatrzność daje sposobność odpłacenia się dobrem za złe tym, którzy dalecy od okazania wdzięczności za tyle dobrego, co ks. Bosko zdziałał dla społeczeństwa, zmniejszając liczbę złoczyńców a przysparzając ludzi prawych i uczonych, odpłacali się za to nieprzyjaźnią i traktowali go jako spiskowca i burzyciela spokoju publicznego.

O drugiej godzinie porozchodzili się chłopcy Oratoryum, jedni do klas, drudzy do pracowni. Jednakże kilku z nich pozostało na podwórzu, widząc, że jakaś burza wisi nad naszym domem. I nic dziwnego, bo każdego mogły zaciekawić poustawiane straże, jak gdyby chodziło o pojmanie jakiegoś złodzieja lub szpiega. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść po domu, że ks. Bosko chciano uwięzić; i w rzeczywistości przed domem stały już przygotowane konie, aby w razie potrzeby zawieźć ks. Bosko do więzienia. Wiadomość ta jak grom spadła na cały dom; powstał wielki popłoch i zamieszanie; chłopcy wzruszeni nie chcieli siedzieć po klasach i pracowniach; jedni krzyczeli, inni płakali i prosili, aby im pozwolono wyjść bronić swego ojca przybranego, albo razem z nim pójść do więzienia. Scena ta była tak wzruszająca, że nawet teraz na samo jej wspomnienie łzy się nam cisną do oczu. Profesorowie i naczelnicy pracowni uspokajali chłopców jak mogli i tłumaczyli im, że ks. Bosko nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, że gdyby rzeczywiście na coś się zanosiło, to oni sami pierwsi pospieszyliby mu wraz z nimi na pomoc.

Mimo to pozwolono wyjść kilku najstarszym. Jeden z nich zbliżył się do ks. Bosko i szeptnął mu do ucha: „Czy nam Ksiądz Dobrodziej

pozwoli wyrzucić ztąd tych łajdaków?" „Nie, odrzekł ks. Bosko; przeciwnie zakazuję wam wszelkiego słowa, wszelkiego ruchu obrażającego kogokolwiek. Nie bójcie się niczego; ja wszystko załatwię, a wy idźcie sobie spokojnie do swych zajęć i uspokójcie waszych towarzyszy." Gdyby nie te słowa pełne roztropności i spokoju, bezwątpienia nie byłoby się obeszło bez jakiegoś nieszczęścia w tej krytycznej chwili, ponieważ w sercach naszych panowało takie oburzenie, że dla obrony ks. Bosko byliśmy gotowi na wszystko.

Prefekt domu ks. Alasonatti, którego wspomnienie zawsze jest nam miłe, był sam w ogromnym strachu i strapieniu. Był on prawą ręką ks. Bosko i naszym drugim ojcem. Bał się ogromnie, by ks. Bosko nie uwięziono i podawał do tego następujące powody: „Pomiędzy tylu listami, jakie ks. Bosko otrzymał w ostatnich dniach, łatwo mógł się znaleźć taki, w którym wyrażano się niepochlebnie o rządzie i ganiono zabór państwa kościelnego. List taki mógłby w chwili obecnej posłużyć dla tych ludzi za pozór do uwięzienia ks. Bosko. A w takim razie cóż ja nieszczęsny pocznę bez ks. Bosko w tym domu? Byłoby lepiej, gdyby mnie uwięziono, a ks. Bosko pozostawiono w spokoju." — Tak mówiąc, zacny kapłan rozrzewnił się do łez i postanowił w danym razie prosić, aby jego uwięziono zamiast ks. Bosko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻYWOT

X. biskupa Alojzego Lasagni

Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XXV.

Rolnictwo i hodowla wina. — Emigranci włoscy. — Historya naturalna. — Obserwatoryum meteorologiczne i jego biuletyn. — Prorok wiedzy. — Linia telefoniczna. — W więzieniach. — Stowarzyszenie kaplic świątecznych. — Złote słowa.

Gorliwość naszego misyonarza rosła bez ustanku i, stosownie do okoliczności, zwracała się w rozmaitych kierunkach. Wszystko w jego rękach stawało się narzędziem zbawienia dusz. Tak się też stało z nauką rolnictwa, a w szczególności hodowli wina, której się poświęcił z umiejętnością sobie właściwą. Mieszkańcy Uruguaju byli po większej części wyłącznie pasterzami i jedynem źródłem bogactwa w tym kraju był chów bydła. Rolnictwo ograniczało się na uprawie niewielkiej ilości zbóż i warzyw, a prawie wszystko zboże, potrzebne do wyżywienia ludności, sprowadzane było ze Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Winorośl uważaną była za roślinę ogrodową i uprawiano ją tylko na użytek stołów bogatych mieszkańców. Nie tylko nie starano się rozpowszechnić jej uprawy, ale trzymano się uparcie starego przesądu, który twierdził, że klimat Ameryki nie sprzyja hodowli wina.

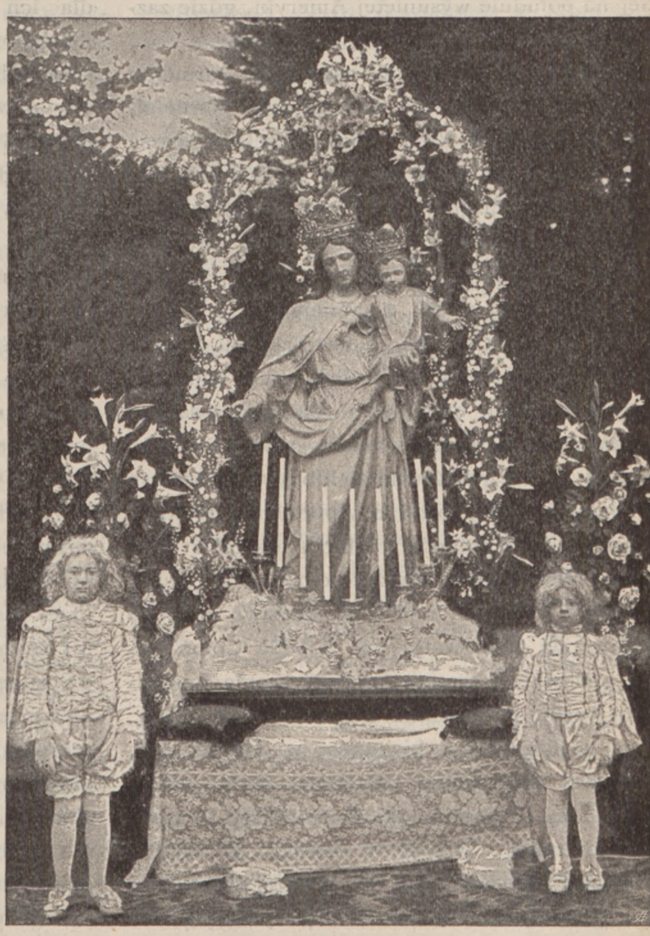
Ks. Lasagna nie zważał na podobne uprzedzenia i zaledwie przybył do Uruguaju, postanowił sam wyrabiać wino potrzebne mu do Mszy św., gdyż podejrzywał mocno czystość tego, które

zmuszonym był kupować. Z początku używał winogron krajowych, ale te, jako bardzo wodniste, nie dawały dobrego wina. Założył więc wielką szkółkę winorośli, biorąc sadzonki ze wszech stron. Gdy i te próby nie dały zadowalających wyników, zaczął sprowadzać winorośle z Włoch, a mianowicie z miejscowości Montemagno, skąd je otrzymywał od swego opiekuna Dra. Rinettiego. Zasadził przeszło dwadzieścia rozmaitych gatunków wina w pobliżu Villa Colon; pomiędzy tymi znalazło się kilka, dla których grunt i klimat miejscowy okazały się całkiem odpowiednie. Powodzenie było świetne i sadzonki sprowadzone z Włoch i z Francyi wydały w przecięciu 14 do 15 kg. owocu, oraz wyborne wino, które otrzymało nagrody na wystawach w Genui, w Chicago i w Montevideo. Ks. Lasagna miał więc wino mszalne nie tylko dla siebie, lecz także dla wielu kościołów w Uruguaju.

Co jednakże najwięcej leżało ks. Lasagni na sercu, było to dostarczenie pracy i uczciwego zarobku włoskim emigrantom. W tym celu rozdawał tym, którzy już posiadali jaki kawałek gruntu, sadzonki winne wraz z potrzebnemi wskazówkami, i tym sposobem powstały wkrótce dokoła Villa Colon i w dalszej okolicy kwitnące winnice, które stały się dla ich posiadaczy źródłem bogatych zysków.

Ks. Lasagna nie poprzestał jednakże na tem, starał się bowiem zainteresować tą sprawą również bogatych krajowców, polecając im uczciwe rodziny włoskie, rozumiejące się na uprawie wina; ażeby zaś usunąć wszelką nieufność z jednej i z drugiej strony, własnoręcznie spisywał kontrakty dzierżawne, które kazał im potem podpisywać. Jego czynna i niezmordowana energia sprowadziła wielkie korzyści materyalne, ale, co w jego oczach najwięcej miało ceny, było to podniesienie w ten sposób uroku i wpływu kapłana, które mu ułatwiało jego misyę apostolską.

W tym samym celu, godnym zaiste świętego zapału misyonarza katolickiego, starał się nadać silny rozpęd naukom przyrodzonym w Kollegium Piusa IXgo. Kollegium to wyposażone zostało najbogatszą, jaka istniała w Ameryce, kollekcyą *Koleopterów, wykopalisk,* oraz innych zbiorów wielkiej wartości dla uczonych. Pragnął szczególnie urzeczywistnić jak najprędzej projekt Ks.



Statua Maryi Wspomożycielki
ukoronowana w Villa Colon.

Bosko, t. j. urządzić Obserwatoryum meteorologiczne. To też zaledwie wysoka wieża została wzniesiona, a przyrządy, sprowadzone z Europy, ustawione na swem miejscu, urządził uroczyste otwarcie Zakładu. Odbyło się ono 7go października 1882 r. Znajdował się właśnie wówczas w Montevideo Mons. Maryusz Mocenni, nuncyusz Stolicy św. przy Dworze brazylijskim, prałat wielkich zalet umysłu i serca, a obecnie członek Kolle-

gium Kardynałów. On to, jako przedstawiciel Ojca św., poświęcił nowe Obserwatoryum; towarzyszył mu biskup miejscowy, liczne duchowieństwo i najwyżsi dostojnicy cywilni i polityczni Uruguaju. Od tej chwili rozpoczęła swoją działalność owa sieć obserwatoryów meteorologicznych, którą obmyślił O. Denza, a której celem jest badanie zjawisk atmosferycznych w części najbardziej na południe wysuniętej Ameryki, gdzie zazwyczaj biorą początek burze i huragany.

Nadzieje, jakie uczony astronom Barnabita czynił Salezyanom, nie okazały się marnemi. Obserwatoryum w Villa Colon zaczęło ogłaszać co miesiąc biuletyn, w którym zapisywano starannie i drobiazgowo czynione spostrzeżenia, a który rozsyłany był wszystkim obserwatoryom i zakładom naukowym całego świata. Pracując na szczycie swej wieży z umiejętnością i cierpliwością nieznużoną, ks. Alojzy Morandi doszedł do oznaczenia z całą pewnością czasu nadejścia czterech wielkich burz, które rok rocznie szaleją na wybrzeżach; przepowiadał również długo naprzód różne gwałtowne cyklony i straszliwe huragany, i sygnalizował je w porcie Montevideo, co pozwoliło zapobiedz rozbiciu okrętów oraz innym niezliczonym nieszczęściom i klęskom. Te ważne usługi oddane społeczeństwu zjednały dyrektorowi Obserwatoryum w Villa Colon gorące pochwały i szczere podziękowania komendanta portu, pułkownika Dupuis. Mons. Soler, który później został biskupem w Montevideo, winszował Salezyanom postępów, jakie, dzięki ich pracom, uczyniła nauka meteorologii i nazwał ks. Morandiego *prorokiem wiedzy*. Z czasem doszło do tego, że rząd, aby prędzej dowiedzieć się o spostrzeżeniach, zbudował (w tym wyłącznie celu) linię telefoniczną, dziesięć klm. długą, łączącą Obserwatoryum w Villa Colon z głównym budynkiem poczty w stolicy. Od tego czasu, ile razy pogoda się zmienia, okręty nie ruszają w drogę, dopóki nie zapytały w Obserwatoryum o radę.

Oczywiście ks. Lasagna nie mógł sam osobiście zajmować się temi dokładnemi i drobiazgowemi spostrzeżeniami, ale on dawał popęd, podtrzymywał odwagę i dobrą wolę swych współbraci, oddalał trudności, przezwyciężał przeszkody i ze świętą dumą patrzał na te zdobycze nauki, otrzymane przez księży, których świat uparcie uważa za nieuków i zacofańców. Podczas gdy się tak wysilał, aby podtrzymywać zapał do badań naukowych wśród swych współbraci i wśród młodzieży, sam miał ciągle przed oczyma wzniosły cel swego apostolstwa; do tego kierowały się wszystkie jego myśli.

Zwrócił zatem swe starania i trudy ku tym nieszczęśliwym, których społeczeństwo odrzuca dla ich zbrodni i którzy jęczą w ciemnych i niezdrowych więzieniach, dopóki nie wypłacą swego długu sprawiedliwości ludzkiej. Proszony, aby dawał rekolekcye więźniom, chętnie nato przystawał i, idąc za przykładem swego Ojca ks. Bosko, przez kilka dni z rzędu starał się balsamem wiary św. łagodzić rany tych dusz nieszczęśliwych. Trudno opisać wszystkie pomysły, jakimi go natchnęła miłość chrześcijańska, aby obudzić wstręt do występków i grzechów w tych sercach, które nienawiść i ból zatwardziły. Przekonany, że mówiąc do tych ludzi, kaznodzieja powinien trafić wprost do duszy, nie wdawał się w uczone rozprawy, nie szukał pięknych zwrotów wymowy, w których jednak był bardzo biegłym, ale prostemi i czułemi słowy starał się poruszyć najgłębsze struny ich serc. Fakta rzeczywiste oraz przykłady, opowiedziane z wyrazem prawdy i głębokiego przekonania, silniej działały na tych słuchaczów niż ścisłe rozumowania, i niebawem tryumf jego był zupełny. Aby doprowadzić do końca dzieło nawrócenia tych dusz, korzystał nawet z godzin rekreacyi; spędzał je wszystkie wśród swoich ukochanych więźniów. Siedząc dokoła niego, słuchali oni z zachwytem i z prawdziwym pożytkiem dla swych dusz jego zajmujących opowiadań; odpowiadał łaskawie na ich zapytania i pozwalał im dać wylew uczuciom tkliwości, które zdawały się już być na zawsze wygasłe w tych sercach: ci nieszczęśliwi spotkali po raz pierwszy od wielu lat człowieka, który umiał podzielać ich cierpienia i smutki. Ks. Lasagna miał tę pociechę, że przy końcu rekolekcyi wszyscy więźniowie pojednali się z Bogiem i pokrzepili Chlebem Żywota, który miał im przynieść spokój i rezygnacyę. Przez wiele lat przechowało się w tych posępnych murach wspomnienie nauk zacnego misyonarza, jego miłego i wesołego obejścia a nadewszystko jego bezgranicznej miłości.

Tak samo jak ks. Bosko powziął w czasie swych odwiedzin u więźniów pierwszą myśl

Dzieła Patronażów (*), tak i te rekolekcye, dawane więźniom w Montevideo, pomnożyły gorliwość ks. Lasagni w rozpowszechnianiu ze wszystkich sił tego dzieła, które jak było kolebką, tak stało się najszerszem polem działalności salezyańskiej. Jako prawdziwy i godny syn ks. Bosko zajął się odtąd jeszcze gorliwiej urządzaniem zebrań, zwłaszcza niedzielnych, młodzieży, aby ją kształcić w pobożności i cnotach chrześcijańskich. Ponieważ Bóg udzielił mu w wysokim stopniu daru zagrzewania drugich zapałem, który mu serce przejmował, po niedługim czasie otaczał go rój młodzieży należącej do najpierwszych rodzin z Montevideo, po większej części uczni Kollegium Villa Colon, którzy gotowi byli iść za nim i popierać go całą siłą w zakładaniu i utrzymywaniu potronażów w różnych dzielnicach miasta i w jego okolicy. A nie były to czcze tylko postanowienia, gdyż wkrótce stowarzyszenie zaczęło wydawać owoce, jak to możemy wyczytać w dzienniku: ,,Dobro publiczne'' (El Bien Publico) w numerze z 8go sierpnia 1882 r.

Pozwalamy sobie powtórzyć tutaj kilka ustępów ze sprawozdania odczytanego na sesyi d. 15go lipca tegoż roku przez p. Ludwika Piotra Leugnasa, prezesa dzieła Patronażów. Nim jednak przejdziemy do szczegółów, chcemy uczynić pewną uwagę dotyczącą początków i rozwoju naszej młodej instytucyi. Związek stowarzyszenia Patronażów znany jest wszystkim. Kilku uczniów Kollegium Piusa IX litując się nad opłakanym stanem moralnym ubogich dzieci wałęsających się wszędzie, a przytem pogrążonych w grubej niewiadomości wszelkich zasad moralności i religii z powodu niemożności uczęszczania na naukę do szkół bezpłatnych, na nabożeństwa, a nawet na katechizm niedzielny, — uważając, że samem narzekaniem następstw złego się nie usunie, postanowili zawiązać stowarzyszenie, mające za cel poprawić ile możności los tych nieszczęśliwych i ułatwić im uczęszczanie na nabożeństwa i na wykłady katechizmu, odbywające się w każdą niedzielę i w każde święto w kaplicy Kollegium Piusa IX. Ci młodzi ludzie rozumieli dobrze ważność pracy, jaką przedsiębrali i trudności, jakie będą mieli do przezwyciężenia, aby ją doprowadzić do końca, ale dodawali sobie wzajemnie odwagi, postanawiając nie uledz przed przeszkodami, jakie miały im zajść w drogę. Wzorowy i światły kapłan, nasz ukochany ks. Lasagna, któremu mamy sobie za obowiązek tutaj z głębi serca podziękować, kierował pierwszemi pracami i pod natchnieniem tego świątobliwego zakonnika nasi młodzi ludzie doprowadzili do końca instytucyę, o jakiej marzyli, dając jej nazwę: ,,Przyjaciół ludu.'' Nazwę tę niedługo potem zamienili na nazwę: ,,Patronażu'' (czyli: Opieki), lepiej wyrażającą cel Dzieła. Opowiedziawszy założenie i początki pięciu pierwszych Patronażów: *Serca Jezusowego* w Montevideo, *św. Augustyna* w Villa Union, *św. Izydora* w Las Piedras, *M. B. Pokoju* w La Paz i *M. B. Wspomożenia* w Villa Colon, prezes ich tak zakończył: ,,Wielką troską założycieli był brak regulaminu dla wewnętrznego zarządu Patronażów. Jeden z członków rady, p. Emanuel Gonzales, podjął się wypracować go i projekt swój przedłożył do zatwierdzenia ks. Lasagni. Miło nam jest zawiadomić, że skoro tylko ten zacny kapłan powróci z podróży, jaką obecnie odbywa po Brazylii, będziemy mogli odebrać od niego te ustawy i oddać je do druku.

Jeżeli ten ustęp z historyi założenia Patronażów przynosi zaszczyt ks. Lasagni, który pierwszy zapoczątkował to dzieło w Montevideo i ukazuje go nam raz jeszcze jako godnego syna ks. Bosko, wzbudza zarazem słuszny podziw dla tych młodych ludzi, pełnych szlachetnej odwagi i ducha ofiary, którzy wyrzekając się światowych rozrywek, przystąpili jako towarzysze i pomocnicy do tak pięknego i zbawiennego dzieła. Oby Bóg dał im licznych naśladowców! Oby ich przykład przyciągnął do Patronażów jak największą liczbę gorliwych pomocników i katechetów, którzy na równi z misyonarzami pracującymi w różnych krajach Afryki i Ameryki przyczyniają się do wyrwania ze szpon szatańskich i zbawienia wielkiej liczby dusz. Oni sami przytem osiągną niejedną korzyść duchowną, bo ten Patronaż, któremu poświęcą swe siły, stanie się dla nich tarczą przeciw pokusom świata i szatana a zachętą do coraz większego postępu w dobrem. O, jak wielką prawdę powiedział ów dzielny inżynier, który, witając swój ukochany Patronaż, wołał: ,,Święte pole pracy, jakże mógłbym cię nie kochać?! Jeżeli w najtrudniejszych chwilach mego życia, jeżeli w czasie mych studyów uniwersyteckich zachowałem wiarę, zachowałem serce czyste, tobie, drogie dzieło Patronażów, to zawdzięczam!''

(Ciąg dalszy nastąpi).

(*) Kaplic świątecznych.



ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

†

Bergmann August, — *Ottendorf*, Prusy Wschodnie.
Brajer Józef, — *Biadki*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Chróścielewski Nikodem, — *Starogard*, Prusy Zachodnie.
Czapiga Józef, — *Żarówka*, Galicya.
X. Drews Edward, — *Jeżewo*, W. Ks. Poznańskie.
Dropała Marya, — *Żandowice*, Górny Śląsk.
Dziekan Józef, — *Żarówka*, Galicya.
Foryta Małgorzata, — *Siewkowice*, Górny Śląsk.
Gajda Julia, — *Radzionków*, Górny Śląsk.
Grobelna Zofia, — *Wyrębin*, W. Ks. Poznańskie.
Grześkowiak Michał, — *Siedlec*, W. Ks. Poznańskie.
Gurda Agata, — *Żarówka*, Galicya.
Jarosiński Wielebny Ojciec Wincenty, Przeor OO. Karmelitów, — *Kraków*, Galicya.
Dr. Jaworowicz W., lekarz, — *Toruń*, Prusy Zachodnie.
Karbowiak Antoni, — *Biadki*, W. Ks. Poznańskie.
Kołodziejczyk Wawrzyniec, — *Lipiny*, Górny Śląsk.
Kolski Zygmunt, — *Chicago*, Stany Zjednoczone.
X. Kuck Antoni, proboszcz, — *Altschoeneberg*. Prusy Wschodnie.
Lehman Jakób, — *Polskawieś*, — W. Ks. Poznańskie.
Martynyk Bazyli, — *Sinków*, Galicya.
Mateja Franciszek, — *Pyskowice*, Górny Śląsk.
Mochnacki Kamil, — *Tyśmieniczany*, Galicya.
Nowacki Józef, — *Zazdrość*, Galicya.
Nowak Jan, — *Czerlejnko*, W. Ks. Poznańskie.
Orliński Kasper, — *Dąb*, Górny Śląsk.
Pająk Agata, — *Nowa wieś*, Galicya.
X. Peta August, — *Grutta*, Prusy Zachodnie.
Pogacki Franciszek, — *Kościan*, W. Ks. Poznańskie.
Popiel Edmund, — *Kozłów*, Galicya.
Raczkiewicz T., — *Kórnik*, W. Ks. Poznańskie.
Rajewski A., — *Poniec*, W. Ks. Poznańskie.
Rydzy Wawrzyniec, — *Żarówka*, Galicya.
Ryngwelski M. — *Kiszewa Stara*, Prusy Zachodnie.
X. Schultz Robert, proboszcz, — *Sokołów*, Prusy Zachodnie.
X. Sierakowski Wojciech, proboszcz, — *Opatów*, W. Ks. Poznańskie.
X. Stagraczyński Józef, proboszcz, — *Gniezno*, W. Ks. Poznańskie.
Stanusz Piotr, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Stefanowska Maryanna, — *Krotoszyn*, W. Ks. Poznańskie.
Szpak Wojciech, — *Spytkowice*, Galicya.
Szymonowicz Władysława, — *Hamoń*, Niemcy.
Widok Tomasz, — *Ciężkowice*, Górny Śląsk.

†

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1905.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: Robert Eckert.

3. Pensyę płaci się naprzód, co trzy miesiące: przeto alumn przy wstępie do zakładu powinien opłacić pensyę przynajmniej na pierwszy kwartał.

Uwaga. — Ktoby opłacał roczną pensyę z góry, temu ją zniżamy na 280 franków (=230 marek, lub 267 koron, lub 108 rubli).

4. Zakład dostarcza łóżka, siennika, szafki na ubrania, światła, atramentu, opału w zimie i w razie potrzeby postara się o lekarza. Ale wymaga, by alumn złożył w pierwszym roku na ten cel 12 franków (= 10 marek, lub 11,50 koron, lub 5 rubli). Pieniędzy tych nie zwraca się, chociażby uczeń przez krótki tylko czas pozostał w zakładzie. Prócz tego wymaga się kwartalnie 4,50 franków na koszta prania.

5 Rodzice lub opiekunowie ponoszą również wydatki na książki, ubrania, za wszelkie naprawy, znaczki pocztowe, podróże, lekarstwa i t. p.

Wyprawa.

Alumn wstępując do zakładu powinien mieć:

1. Ubiór czarny na święta (możebnie nie frak).
2. Dwa ubrania letnie, dwa zimowe.
3. Płaszcz zimowy,
4. Trzy pary kamaszy.
5. Kołdry zimowe z nakryciem na łóżko.
6. Ośm prześcieradeł i 4 poszewki.
7. Sześć koszul płóciennych, trzy wełniane.
8. Trzy pary gaci letnich, trzy pary zimowych.
9. Dziesięć par szkarpetek.
10. Dwanaście chustek do nosa.
11. Cztery serwetki do stołu.
12. Pięć ręczników.
13. Dwanaście kołnierzyków kauczukowych lub płóciennych.
14. Cztery krawatki; szczotki i grzebień.
15. Materac do spania wypchany wełną, długości 1,90 m., szerokości 0,85 m.; ale nie jest obowiązkowy. Prefekt zakładu może go dostarczyć za kwotę 35 fr. (= 28 mk. = 16 fl. = 13 rubl.).

Książki (wolne).

1. *Małecki* — Gramatyka języka polskiego.
2. *Wójcik* — Wypisy polskie na 1 i 2 klasę.
3. *Rykaczewski* — Słownik włosko-polski i polso-włoski.
4. Książkę do nabożeństwa i do czytania duchownego (1).

Uwagi

1. Wyprawa nie musi być koniecznie nową, a to dla uniknienia opłaty na granicach.
2. Zakład nie odpowiada za takie rzeczy, które się łatwo niszczą lub zginą przez niedbałość alumna.
3. Ktoby nie chciał wozić z sobą kołder i nakryć, niech złoży 30 franków (= 24 marki, 14 złr., 11 rubl.), a zakład mu takowych dostarczy przez cały czas nauki.
4. Alumni mogą przybywać do zakładu od 1. do 15. w pierwszy lub drugi wtorek października.
5. Ci, którzy przybywają sami, niech z Wiednia *(Süd-Bahnhof)* zakupią bilet aż do Chivasso: z Chivasso do Ivrei.
6. Każdy alumn wstępując do zakładu, powinien mieć ze sobą oprócz pensyi na pierwszy kwarta pieniądze na powrót, w razie gdyby dla zdrowia lub jakiejkolwiek innej przyczyny nie mógł pozostać w zakładzie.
7. Dla rozrywki, utrzymania czerstwego zdrowia i ćwiczenia muskułów, podczas chwil wolnych od nauki alumni oddawają się pracy w ogrodzie lub innemu zajęciu domowemu.

(1) Książek tych można nabyć w *księgarni Spółki Wydawniczej w Krakowie*, Rynek główny (Galicya).

Adres do X. Dyrektora zakładu:

ITALIA.

Al Molto Reverendo Signore

Signor Direttore dell' Istituto Salesiano

Borgo S. Antonio, 34

(Provincia di Torino). *in* Ivrea.